**W numerze m. in.:**

St. ŻÓŁKIEWSKI
A. ŚWIRSZCZYŃSKA
Wł. SŁOBODNIK
T. KROŃSKI
N. MODZELEWSKA
Cz. MIŁOSZ


# KUŹNICA

Cena 25 zł — 8 stron   Warszawa, 5 lutego 1950 r.   Nr 5 (229) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI


*Pogłębiający się nieuchronnie z coraz to większą siłą ogólny kryzys systemu kapitalizmu światowego i promieniujący coraz potężniej płomień rewolucji społecznej — oto dwa czynniki, pod których wpływem odbywa się wielki proces dziejowy, proces przekształcania w ogniu walk społecznych starego, przeżytego już ustroju społecznego w nowy ustrój społeczny.*

*BOLESŁAW BIERUT*

# PREZYDENT POLSKI LUDOWEJ

W dziesięciolecie najazdu hitlerowskiego na Polskę pisał Bolesław Bierut:

„Jest nas dwadzieścia pięć milionów Polaków oddanych bezgranicznie Polsce Ludowej, Ojczyźnie naszej, krynicy naszych natchnień i czynów. Zjednoczeni wspólną ideą socjalizmu i wolą największego wysiłku, najwydajniejszej pracy, najbogatszego wkładu w dzieło walki o pełne wyzwolenie człowieka, stanowimy siłę niemałą i jest dla nas sprawą honoru i dumy narodowej, aby kroczyć w pierwszych szeregach wielkiej armii bojowników o postęp, o pokój, o wolną, rozumną, twórczą, szczęśliwą przyszłość świata".

Ujrzeliśmy w tych słowach Prezydenta Rzeczypospolitej wyznanie naszej własnej wiary w siłę socjalistycznego patriotyzmu, wiary w lud, w jego historyczne posłannictwo. I wiemy, że tylko człowiek, który sam wyszedł z ludu, z rewolucyjnej walki o wyzwolenie społeczne i narodowe, mógł w ten właśnie sposób określić zadania, jakie historia wyznaczyła naszemu pokoleniu — dwudziestu pięciu milionom Polaków oddanych bezgranicznie Polsce Ludowej.

W przytoczonych na wstępie słowach Bolesława Bieruta, proletariackiego rewolucjonisty, któremu lud powierzył ster swego państwa, określona też została rola nowej Polski w świecie, nasze miejsce wśród tych, którzy we wszystkich krajach walczą o nowy, lepszy i sprawiedliwszy układ stosunków międzyludzkich. To znaczy także: o nową kulturę wolnych ludzi, o kulturę socjalizmu. Tylko uczestnicząc w powszechnej walce ludów o tę kulturę, możemy przecież budować naszą własną, narodową kulturę socjalistyczną — i tylko budując tę kulturę u siebie, wysiłkiem polskich rąk i mózgów, przyczyniamy się do jej światowego zwycięstwa.

I jeżeli nasze pokolenie, powołane przez historię do rewolucyjnej przebudowy życia polskiego, do stworzenia w Polsce socjalistycznego społeczeństwa, przezwyciężając ogromne trudności i opór wstecznych sił zadanie to z powodzeniem spełnia, jeżeli pierwiastki naszej nowej socjalistycznej kultury i nowe socjalistyczne normy moralne nieodparcie torują sobie w naszym kraju drogę do zwycięstwa — zdajemy sobie sprawę z tego, jaką wagę i doniosłość posiada dla nas także w tej dziedzinie każda wypowiedź Prezydenta, każda jego czynna ingerencja w sprawy kultury i oświaty. Pamiętamy, jaką rolę odegrał tu wskazany we wrocławskiej mowie Bolesława Bieruta i realizowany dziś na wszystkich odcinkach polskiego życia umysłowego program i kierunek walki o nową kulturę. Proklamowana przez Partię wielka ofensywa socjalistyczna na froncie kultury rozwija się przecież w walce o urzeczywistnienie tych konkretnych wskazań Prezydenta: upowszechnienie, to znaczy udostępnienie masom ludowym wielkiego dziedzictwa kulturalnego naszej przeszłości, wszystkiego, co w tej przeszłości było postępowe, demokratyczne i patriotyczne, bo wyrosło z wolnościowych dążeń i zmagań narodu — wiąże się nierozerwalnie z uwspółcześnieniem, z tworzeniem nowej socjalistycznej treści naszej kultury, która powstaje na nowym już, stworzonym przez rewolucję podłożu społecznym. Jedno warunkuje drugie: tylko socjalizm udostępnia ludowi zamknięte przed nim dawniej a nagromadzone w ciągu wieków skarby kultury narodowej, uczy go cenić tę kulturę i kochać ją jako swoją — i tylko w oparciu o tę kulturę, o cały dorobek duchowy minionych pokoleń, o narodową tradycję kulturalną może powstać i rozwinąć się kultura socjalizmu.

Ogromna część uwagi i wysiłku Prezydenta Rzeczypospolitej, poświęcana przezeń zadaniom budownictwa kulturalnego, przy czynnym, drobiazgowym często wnikaniu w związane z tymi zadaniami szczegóły programowe i organizacyjne — zjawisko nieznane nigdy przedtem w Polsce, ale zjawisko zrozumiałe i naturalne w nowych warunkach ustrojowych — to, rzecz jasna, tylko jeden z wielu elementów składających się na to, co stanowi o istotnie kierowniczej a tak wybitnej i twórczej roli Bolesława Bieruta w pracy i walce całego narodu.

Czołowa postać rewolucyjnego ruchu robotniczego w naszym kraju — uosabia Bolesław Bierut jako Prezydent Rzeczypospolitej przodującą rolę polskiej klasy robotniczej w naszym życiu narodowym i państwowym. To nie symbol. To rzeczywistość społeczno-polityczna, świadomie ukształtowana przez naród pod przewodem rewolucyjnego obozu, pod kierownictwem Partii, na czele której stoi Bolesław Bierut.

**Trzy lata temu, 5 lutego r. 1947, Sejm Ustawodawczy obrał Bolesława Bieruta Prezydentem Rzeczypospolitej.**
**Na zdjęciu: Prezydent Bierut przemawia w czasie odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Warszawie**

Wolny od przesądów działacz naukowy i kulturalny, twórca czy wychowawca, musi zdawać sobie przede wszystkim sprawę, że podstawowym źródłem jego twórczości jest ciężka praca robotnika i chłopa, codzienny, mozolny wysiłek ludu pracującego, który go żywi i karmi, wobec którego jest on moralnie zobowiązany. Obowiązkiem twórcy kształtującego duchową dziedzinę życia narodu, jest wczuć się w tętno pracy mas ludowych, w ich tęsknoty i potrzeby, z ich wzruszeń i przeżyć czerpać natchnienie twórcze do własnego wysiłku, którego celem głównym i podstawowym winno być podniesienie i uszlachetnienie poziomu życia tych mas. Twórczość oderwana od tego celu, sztuka dla sztuki, wynika z pobudek aspołecznych.

Cechą znamienną przeżywanego przez nas okresu jest to, że nie wybrane tylko warstwy i nie wyjątkowe tylko postacie, nie indywidualni bohaterowie, ani elita wytrawnych smakoszów wiedzy, sztuki czy kultury działają dziś na potężnej scenie dziejowych przemian w życiu narodów.

Cechą znamienną tego okresu jest właśnie to, że miliony najprostszych ludzi weszły na tę scenę życia publicznego, że pragną one stać się czynnymi a nie biernymi tylko jej uczestnikami, że stają się one stopniowo świadomym i twórczym czynnikiem dziejów.

Cóż warta byłaby twórczość artystyczna, cóż warta byłaby sztuka, wiedza czy literatura, która by nie dostrzegała, nie pojmowała, nie czerpała natchnienia z tych głęboko rewolucyjnych przemian i zjawisk, które się dokonywują, które nurtują w umysłach, które wstrząsają podświadomie psychiką milionów prostych ludzi.

*

Wśród różnych środków oddziaływania na ludzi, sztuka bodaj najgłębiej i najwszechstronniej oddziaływuje na społeczeństwa, kształtuje je, urabia i wychowuje. Dzieło sztuki działa głęboko, zarówno na umysł, jak na uczucia i wyobraźnię, może wstrząsnąć człowiekiem, przekonać go, porwać. Wystarczy dla przykładu wspomnieć, jak wielką rolę w naszej historii kształtowania ducha narodu, w mobilizowaniu całego społeczeństwa polskiego odegrali w okresie niewoli Mickiewicz, Słowacki. Trzeba, żeby nasi twórcy współcześni pamiętali, że ich dzieła powinny kształtować, porywać i wychowywać naród. Trzeba, aby nasi twórcy, nasza literatura, nasz teatr, nasza muzyka, nasz film związane były jak najściślej ze społeczeństwem, z jego bolączkami i dążeniami, z jego wysiłkiem, z pracą, marzeniami, aby wskazywały mu drogę, mobilizowały do twórczej pracy, aby wydobywały z ludzi najszlachetniejsze pierwiastki, stawały się bodźcem postępu i doskonalenia społecznego.

Te wielkie zadania sztuka będzie spełniać mogła tylko wtedy, jeśli czerpać będzie swoje soki, swoją treść z tych samych źródeł, z których czerpie treść swego życia, pracy i walki o nową Polskę całe nasze społeczeństwo, cały nasz naród

**BOLESŁAW BIERUT**

*Z przemówienia wygłoszonego we Wrocławiu 16 listopada 1947 roku*

**SIMON CZIKOWANI**

## SNIEG

**Z gór spadają płatki śniegu
I fruwają. Biało w krąg.
Wiatr po twarzy smaga w biegu.
Sanie poza siołem mkną.**

**Pada śnieg — i biały całun
Kryje ziemię, niby strój.
Dym się wije ociężały,
W pole krok kieruję swój.**

**A na drodze płatki prószą,
Jakby deszcz gwiaździsty spadł.
Myśl się wije niby puszek,
Krąży, tańczy, leci w świat.**

**Chciałem schwytać śnieżne płaty
Co padały z wszystkich stron.
Patrzę, a na oknach chaty
Srebrną rzeźbę kładzie szron.**

**Płatek śniegu schować chciałem,
Ukryć w dłoni jego blask,
Byś w swym sercu zachowała
Tajemnicę piękna gwiazd;**

**Byś patrzyła na kruszynkę —
W włosach mych siwizny pył —
Myśl ta — lotna pajęczynka
Pola, które śnieg już skrył.**

**Chciałem rzec: „Najdroższa moja,
Czysta, jasna jest jak dzień
Miłość, którą we snach roję
I siwizny mojej cień!..."**

**Lecz na próżno się starałem
W moich dłoniach tajał śnieg.
Śladu płatków nie zostało,
Smutek w dom mój za mną biegł.**

**Żałowałem śnieżnych blasków,
Próżnych serca mego mąk.
Tyś — wieczornej zorzy brzaskiem,
Jam wichury gniewnej grom.**

## PRZED POMNIKIEM LENINA

**Mgły porannej zasłona opada,
Wschód roztacza w krąg swe promienie
Tam, gdzie fala w Zagesu stawach
W elektryczny prąd się przemienia.**

**Mcchet w objęciach Aragwy i Kury...
Ja, gdziekolwiek na jutrznię czekam,
Ledwie oczy uniosę w górę,
Widzę: Lenin stoi nad rzeką.**

**Widzę: stoi nad brzegiem tym Lenin
A zwycięstwo lśni w jego oczach,
I zielony gaj Zedazeni
Niczym sztandar za nim trzepoce.**

**Patrzy czujnie na świat z piedestału,
Gdzie dolina kwitnie nad wodą,
Tam, gdzie młodość druha mężniała,
Tam, gdzie Stalin chadzał za młodu.**

**Sen strząsnęły już drzewa we Mcchecie
W świetle ranka, w promieniach zniczu,
I rozbłysnął ten promień o świcie,
Niczym myśl nad czołem Iljicza.**

**Obdarzone są pięknem surowym
Dumnych szczytów odwieczne zbocza,
Tam, gdzie drogą gruzińską, wojskową,
Układając wiersz, Puszkin kroczył.**

**Gdzie nad siwych wierzchołków śniegami,
Tylko wicher powtarzał pierwszy,
Co napisał poeta-Rosjanin,
Opiewając Gruzję w swych wierszach.**

**Pięknie szczyty kaukaskie się mienią
Kiedy zorza na nich się pali,
Gdzie nad Kurą stoi dziś Lenin,
Gdzie za młodu przechodził Stalin.**

**Przyjaźń wspólną związała ich drogę.
Stalin wszędzie — w boju i w pracy;
I dla wszystkich na świecie narodów
Lenin myśli swoje przeznaczył.**

Objaśnienia. Zages — Zakaukaska stacja hydroelektryczna; Mcchet — miasto w Gruzji, dawna rezydencja królów gruzińskich; Aragwa i Kura — rzeki w Gruzji.

**Przełożył MARIAN L. BIELICKI**

**MAKSYM TANK**

* * *

**Będzie święto, o bracia, również w naszym domu,
gdy po tropach faszystów przejdzie cwał i tętent,
gdy ich gniazda na popiół wśród pożarów spłoną,
gdy wiosenne burze zmyją ślad ich przeklęty.**

**Wyjdą bracia nasi z głuchych puszcz i ziemianek,
wyjdą z czarnych obozów, z faszystowskich więzień
ucałują tę broń, co rozbiła kajdany;
witać sztandar zwycięstwa lud już wolny będzie.**

**Bliski dzień naszej chwały! Spoza dymów wstaje
jasność purpurowa, słońca brzask zapłonął!
Oto wolność promienna wschodzi ponad krajem
— będzie święto, o bracia, również w naszym domu!**

**1943 r.**

**Przełożył LEON PASTERNAK**

Simon Czikowani, wybitny poeta gruziński, i Maksym Tank, znany poeta białoruski, byli ostatnio w Polsce w delegacji pisarzy radzieckich na odsłonięciu pomnika Mickiewicza w Warszawie.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

# Badania literackie na Kongresie Nauki

W drugiej połowie r. 1950 odbędzie się Kongres Nauki Polskiej. Będzie to zakończenie poważnego etapu prac naszej odrodzonej nauki. Kongres będzie zwołany pod hasłem „powiązania nauki z Państwem Ludowym i życiem narodu". Staną przed nim następujące zadania:

„1) Kongres winien zobrazować aktualny stan nauki polskiej;

2) Kongres winien przyczynić się do: pogłębienia i poszerzenia ruchu umysłowego w Polsce,
nieustępliwej walki z zastojem, skostnieniem metodologicznym, rutyną, z wstecznymi teoriami i obskurantyzmem,
walki o najwyższy, godny naszych tradycji poziom nauki polskiej.
Praca w tym zakresie winna zachęcić uczonych polskich do gruntownego poznania teorii materializmu dialektycznego i historycznego, jak również stosowania jej w dziedzinie własnych badań naukowych, aby podnieść poziom nauki polskiej. Praca w tym zakresie winna przyśpieszyć proces zaznajamiania się uczonych polskich z dorobkiem nauki radzieckiej.

3) Kongres winien przyczynić się do powiązania nauki i polskich pracowników naukowych z państwem ludowym, z życiem całego narodu.
Odbywając się w pierwszych miesiącach realizacji 6-letniego planu narodowego, kongres winien wytyczyć konkretne formy włączania nauki polskiej do walki o wykonanie celów wytkniętych przez ten plan.

4) Kongres winien wykazać znaczenie nauki dla utrwalenia suwerenności naszego państwa;
przyczynić się do przezwyciężenia tak silnych w nauce polskiej także przed wojną tendencji kosmopolitycznych;
winien wydobyć i podkreślić polski wkład do światowego dorobku nauki oraz utrwalić postępowe tradycje naszej nauki.
Kongres winien wykazać łączność nauki i naukowców polskich z ogólno-światową walką o pokój.

5) Kongres winien dokonać przeglądu najpilniejszych i najpoważniejszych problemów stojących przed nauką, ustalić ich hierarchię. Kongres winien doprowadzić do przyjęcia przez badaczy naukowych szeroko i racjonalnie pojętych zasad planowania badań naukowych, jako podstawowej zasady nowoczesnej organizacji nauki, winien ustalić na najbliższy okres czasu szczegółowe formy organizacji życia naukowego w Polsce".

Obrady Kongresu dotyczyć będą wszystkich dziedzin nauki. Sekcja nauk społecznych i humanistycznych obejmie między innymi i podsekcję badań literackich.

Na forum obrad tej sekcji będzie można poruszyć wszystkie trudności, na które napotyka rozwój nauki o literaturze, będzie można ocenić dotychczasowy dorobek, wytknąć kierunki rozwoju na przyszłość.

Wszelka zorganizowana i szeroka reforma nauki wymaga zobrazowania i oceny aktualnego jej stanu. Dokonywało się już parokrotnie takich bilansów polonistycznych. Wystarczy przypomnieć jeden bardzo dawny z roku jubileuszowego Kochanowskiego, drugi zawarty w indywidualnych wypowiedziach wybitnych uczonych polonistów w pierwszych rocznikach Nauki Polskiej. Musimy sobie przecież zdać sprawę, że rewolucyjne przemiany, które dokonały się w życiu społeczeństwa, wymagają dziś od nas znacznie bardziej zasadniczej rewizji.

Zobrazowanie i ocena aktualnego stanu badań literackich nie może ograniczyć się nawet do najbardziej sumiennego wyliczenia problemów historyczno-literackich nierozwiązanych, okresów niezbadanych, pisarzy i dzieł zapomnianych. Musi to być nadto konfrontacja naszej wiedzy literackiej i literatury naukowej z realnymi potrzebami szkoły i nauczycielstwa, które wyznaczyły nowe programy nauczania, z potrzebami studenta i przyszłego polonisty, które określiła rozpoczęta reforma studiów uniwersyteckich.

Musi to być ocena naszego dorobku z ogólnego punktu widzenia potrzeb polityki kulturalnej Polski Ludowej, zadań upowszechnienia kultury, ocena z punktu widzenia stosunku nauki o literaturze do budownictwa kultury socjalistycznej w Polsce.

Musi to być ocena ideowa i metodologiczna. Trzeba oddzielić rzeczywisty dorobek nauki od wstecznych zafałszowań naszej tradycji literackiej. Nasze przodujące czasopisma literackie poruszały niejednokrotnie wymienione wyżej problemy. Pozwolę sobie odwołać się do zeszytów „Polonistyki", do artykułu Kotta w „Nowych Drogach" (Nr 3, 1949) i do mego szkicu „Przykład literaturoznawstwa radzieckiego" (Kuźnica nr 41, 1949). Kott pisał w cytowanym studium:

„Jest rzeczą niewątpliwą, że od uniwersyteckiego studium polonistyki zależy nie tylko przyszłość samej tej nauki, ale i w poważnym stopniu dalsze postępy naszej ofensywy kulturalnej. Nie mamy bowiem dwóch odrębnych zagadnień, ale jedno: rewolucja kulturalna zmienia charakter i oblicze nauki, stawia przed nią nowe zadania, wykorzystuje jej zdobycze i upowszechnia jej osiągnięcia. Nie istnieje odrębna problematyka naukowych pracowni historyczno-literackich i odrębna problematyka rewolucji kulturalnej. Nauka oderwana od wielkich procesów historycznych własnego narodu przestaje się rozwijać i zaczyna się cofać.

Wybór postępowego dziedzictwa kulturalnego i literackiego, jego właściwe, pełne, krytyczne oświetlenie i zbadanie, to jednocześnie sprawa nauki i rewolucji kulturalnej.

Klasowa ocena przeszłości historycznej i tradycji literackich — to jednocześnie sprawa nauki i tradycji kulturalnej.

Oparcie wiedzy o literaturze i języku na marksistowsko-leninowskich zasadach teoretycznych — to jednocześnie sprawa nauki i rewolucji kulturalnej.

Nowatorska interpretacja przemian literackich ukazująca ściśle związki łączące historię i literaturę, odsłaniająca jedność dynamiki prądów literackich i dynamiki rozwoju społecznego, jest jednocześnie sprawą nauki i rewolucji kulturalnej.

Mówiąc krótko, pełna, uczciwa i rzetelna rewizja naszej przeszłości historycznej, naszej wiedzy o literaturze i języku, polityczna i klasowa ocena dziedzictwa kulturalnego, ukazanie wartości poznawczej i roli społecznej literatury, obnażenie roli ideologii w kształtowaniu się gustów artystycznych — to w tym samym stopniu sprawa przyszłości nauki jak i dalszego rozwoju rewolucji kulturalnej.

Bez nowych podręczników historii literatury nie zmienimy oblicza szkoły. Bez nowego wyboru tekstów, nowych komentarzy i opracowań, nowych wydań literatury polskiej i światowej, opatrzonych przedmowami, bez nowej interpretacji nowych zjawisk literackich na wszystkich szczeblach nauczania staniemy w miejscu w całej robocie oświatowej. Nowych podręczników, nowego wyboru tekstów literackich dostarczyć powinny uniwersyteckie katedry polonistyki. Tymczasem trzeba stwierdzić zupełnie wyraźnie, że ogromne przemiany społeczne i kulturalne, jakie nastąpiły w Polsce, tylko w nieznacznym stopniu wpłynęły na charakter studiów i pracę uniwersyteckich katedr polonistyki".

Z tych słusznych słów jasno wynika, jak głęboko sięgnąć musi krytyka badawcza, bilansująca dorobek naszej wiedzy o literaturze. Musi ona wytknąć konkretne drogi walki o postępową naukę, musi wytknąć konkretne drogi powiązania naszej dyscypliny z życiem państwa, a to już samo znaczy, że rozwiązane musi być w wyniku tej krytyki najistotniejsze zagadnienie nowoczesnej organizacji nauki: planowanie badań.

Bo polityka państwa wobec nauki, także, chociaż nie tylko, polityka finansowania nauki, musi się oprzeć — jak mówił prof. Dembowski — po pierwsze, na konkretnych i autentycznych danych o stanie danej wiedzy, po drugie zaś, na konkretnym planie badań wynikającym z oceny braków powiązania nauki z potrzebami społecznymi, z takiego uhierarchizowania zadań badawczych, by na plan pierwszy zostały wysunięte te, które są ważne dla budownictwa socjalistycznego. Postępowa bowiem nauka — tworzy nowe życie.

Krytyka metodologiczna jest walnym narzędziem walki o postępową naukę. Epoka imperializmu szczególnie zabagniła wiedzę o literaturze wstecznymi tendencjami metodologicznymi. Nowa nauka — to nowe wyniki. Lecz odnowę nauki o literaturze trzeba zacząć od twórczego przyswojenia postępowych metod badawczych.

Prof. Dembowski w jednym z przemówień organizatora Kongresu powiedział:

„Z pewnością wszyscy się zgodzą, że nauka powinna być postępowa, że jej najgorszym wrogiem jest skostnienie i rutyna. Trzeba jednak aktywnie ustosunkować się do tego zagadnienia, wystąpić przeciw rutynie, wskazać konkretne przykłady zastoju myślowego w procesach naszych placówek naukowych. Sekcje Kongresu powinny zanalizować przyczyny złego stanu rzeczy i wskazać drogi naprawienia tego stanu.

Znaczną pomocą będzie twórcze przyswojenie przez naukę polską metodologii materializmu dialektycznego i historycznego, znacznie większe niż dotychczas zużytkowanie wyników i metod badawczych nauki radzieckiej. Już samo przedyskutowanie tych spraw na sekcji będzie silnym bodźcem. Uczeni nasi winni wypowiedzieć się, jakie warunki powinna mieć nauka, aby mogła ona rozwinąć się w swoim własnym, oryginalnym kierunku.

Opracowując stan współczesny nauki nie powinno się zapominać, że nauka dzisiejsza jest spadkobierczynią nauki dawniejszej. Należy bez przesady, prawdziwie i obiektywnie zebrać dane o pionierskich pracach uczonych polskich, wykonanych w kraju i na obczyźnie, na tle twórczości naukowej świata. Będzie to łatwe i możliwe w naukach humanistycznych, o wiele trudniejsze w naukach przyrodniczych, jakkolwiek i w tym przypadku możemy się poszczycić wieloma bardzo dawnymi tradycjami.

Ważną sprawą jest zwalczanie szkodliwego kosmopolityzmu w nauce, przekonanie ludzi drogą dyskusji i polemiki o istnieniu u nas i szkodliwości dla rozwoju nauki tendencji kosmopolitycznych; wszelka bowiem rzetelna twórczość naukowa wiąże się z życiem narodu".

Lecz twórcza walka o postępową naukę, o zwycięstwo nowoczesnych metod badawczych w nauce, twórcza krytyka naukoznawcza, jeśli liczy się ze społecznymi, jak się wyżej mówiło, kryteriami oceny, musi doprowadzić do określenia kierunku badań, pierwszych zadań i etapów zorganizowanej, kolektywnej, planowej pracy badawczej.

Uważamy ,że wprowadzenie planowości do naszego życia naukowego — to główne, istotne zadanie Kongresu Nauki. A więc przyszły plan w zakresie badań literackich to zadanie organizujące całość prac podsekcji badań literackich.

Twórcze przemiany w polskiej nauce o literaturze już zostały tu i ówdzie zapoczątkowane przez poszczególnych badaczy i w skromnych ramach dotąd powołanych organizacji kolektywnych badań polonistycznych. Wynikiem prac podsekcji badań literackich na Kongresie Nauki winno być objęcie tym planem i tym nowatorskim kierunkiem możliwie wszystkich placówek badawczych, i istniejących i powołanych w wyniku obrad Kongresu.

Planowanie badań literackich w tak dużej skali jest czymś nowym. To też sam plan poprzedzić musi wypracowanie zasad i metod planowania w tej dziedzinie.

W związku z tym wymagałby rozwiązania problem współdziałania katedr i seminariów wewnątrz każdej uczelni i w skali krajowej, problemy celowego kształcenia i specjalizowania katedr, a przede wszystkim technika prac zespołowych. Tylko bowiem celowe współdziałanie kolektywów badawczych może nam dać we właściwym, przez potrzeby społeczne wyznaczonym czasie, oczekiwane podręczniki, syntezy, monografie, skomentowane i krytyczne wydania dzieł.

Na Kongresie podsekcja badań literackich ma przedstawić referat pt. „Stan badań i potrzeby w zakresie nauki o literaturze polskiej". Ma to być właśnie bilans osiągnięć i braków oraz dostatecznie konsekwentny plan pracy zbiorowej na przyszłość, plan, który by wytknął kierunki, zainteresowań badawczych, ich hierarchię, najpilniejsze zadania. Plan taki, rzecz oczywista, tylko wtedy będzie mógł zespolić wiele indywidualnych poczynań, z ich mechanicznej sumy utworzy całość, gdy będzie oparty na wyraźnie określonych założeniach i dyrektywach ideologicznych, metodologicznych.

Toteż referat podsekcji badań literackich na Kongresie Nauki winien być rezultatem poważnego ruchu naukowego, poważnej pracy przygotowawczej. Muszą poprzedzić go dyskusje nad podstawami metodologicznymi naszego literaturoznawstwa, muszą poprzedzić dyskusje nad stanem badań, zarówno w zakresie poszukiwań historyczno-literackich, dotyczących poszczególnych epok, jak i analiz teoretyczno-literackich, teorii wersyfikacji, stylu, języka artystycznego, klasyfikacji gatunków. Muszą być omówione nasze osiągnięcia i potrzeby w zakresie planowego wydawania klasyków, w zakresie rejestracji i opracowania dokumentacji historyczno-literackiej. Muszą być jasno określone zadania, które stawia przed polonistami konieczność realizacji nowych programów nauczania literatury polskiej i języka w szkole jedenastoletniej i na Uniwersytecie.

Sądzę, że właściwym terenem podjęcia tych dyskusji i osiągnięcia wyników, które by były wyrazem naukowej opinii polonistycznej, będzie organizowany wiosną br. ogólnopolski zjazd polonistów. Organizuje go Instytut Badań Literackich i Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza. Referaty przedstawione na tym zjeździe obejmą wyżej podany zakres zagadnień. Wyniki pracy referentów i wyniki dyskusji zjazdowej, uzupełnione publikacjami dopełniającymi problematykę zjazdu, które przyniosą najbliższe miesiące — winny złożyć się na ów referat naszej podsekcji na Kongresie Nauki. Aby referat ten przyniósł istotnie przełomowe oceny i przełomowe wytyczne pracy, trzeba, żeby najbliższe miesiące były okresem szczególnie intensywnej pracy naukowej, pracy nastawionej na właściwe przygotowanie udziału polonistów w Kongresie. Unaukowienie właściwie pojęte, intensyfikacja pozwalająca odrobić zaległości, planowość i kolektywność pracy — to są cechy nowego okresu pracy naukowo - polonistycznej, który powinien zapoczątkować należycie przygotowany udział literaturoznawców w Kongresie Nauki. Zamknięciem pierwszego etapu tych przygotowań winien być nasz zjazd, jego referaty, dyskusja nad nimi.

Rozpocząć nowy okres naszej nauki o literaturze — okres istotnie odpowiadający przemianom, które się dokonały w Polsce, jest naszym obowiązkiem społecznym.

Warunkiem jego spełnienia jest wzmożenie krytyki naukowej, rewizja sądów i ocen, rewizja stanu badań, świadomość kierunku i świadomość konieczności postępu naukowego w naszej dziedzinie.

Stefan Żółkiewski

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

## BALLADA O RYCERZU VON KAMECKE

(Płaskorzeźba w kościółku średniowiecznym koło Ustronia Morskiego)

Wandzie Markowskiej balladę tę poświęcam

Wiem, że się boisz nocy kosmatej,
Nie chcesz aniołów upiornych,
Bo te anioły są jak fregaty,
Odarte z żagli przez sztormy.
Groźna, jak pożar okrętu, zorza
Po pas zanurza się w wodach,
A oddech czasu i oddech morza
To jeden potężny oddech.

Tu w nadmorskiego mroku kościoła
Rycerz von Kamecke srogi
Ani w prawicy trzyma sokoła,
Ani podzwania w ostrogi.
Na płaskorzeźbie — wsparty na mieczu,
Patrzy spode łba ze ściany.
Wymknął się śmierci i średniowieczu,
Czasem i morzem pijany.

Wiatr pełen morskiej słonej siwizny
Dmucha w kolory witrażom,
A on — zamierzchły pomnik pańszczyzny —
Patrzy brodatą twarzą.
Tu, gdy w organach fuga milczenia
Zastyga w mroźny huragan,
Miecz w jego dłoni w bicz się przemienia,
Którym swych knechtów smagał.

Gnili po lochach za bunt i sprzeciw
Chłopi o czerstwych twarzach
I po przelocie kilku stuleci
Morze ich jęk powtarza.
On szczuł ich psami. Wiatr, co z daleka
Leci pod senne sklepienie,
Nieraz jak sfora psów tych zaszczeka
I szarpie chłopskie cienie.

Mówi legenda, na pergaminie
Starym, pożółkłym spisana:
„Zapłonął żądzą pan ku dziewczynie,
Śnieżnej, jak morska piana.
Nie oddał panu dziewczyny białej
Chłop — ojciec niepokorny,
Za to go pańskie psy rozszarpały,
Złe, jak nordyckie sztormy.

Uciekającą ścigał dziewczynę
Rycerz von Kamecke srogi,
Pędząc na koniu przez bory sine,
Tratując wrzosy i głogi.
Gdy ją dogonił, w noc i ulewę
Cwałując naprzeciw wiatrom,
Ona się nagle przemieni w mewę,
Lżejszą niż pieśń i światło.

Strzelił do mewy — i w siwoskrzydły
Żagiel przemieni się mewa,
Strzelił do żagla — w kosy i widły,
W bunt chłopski żagiel dojrzewa!
I odtąd rycerz w kamiennej zbroi,
Patrzący z kościelnej ściany,
Boi się żagli i mew się boi,
Skrzydłami ich ścigany..."

Widzisz? To lecą mewy w przestworza,
To żagle płyną po wodach,
A oddech czasu i oddech morza
To jeden potężny oddech.

## PUDEŁKO ZAPAŁEK

Annie Milskiej

Za oknem noc niebieskowłosa
I mróz jak łyk gorzałki.
Znów chcesz zapalić papierosa
I sięgasz po zapałki.

Zapachniał siarką śnieg — i senna,
Jak oszroniona saga,
Zjawia się zima Andersena
I chłodna Kopenhaga.

Żar — ptaki — lampy w kamienicy
Trzepoczą już światłami.
Przed domem marznie na ulicy
Dziewczynka z zapałkami.

Marznie, lecz jakże odmieniona!
W lód ścięty blask latarni
Oświetla oczy, które płoną
Gniewami Pasionarii!

Zapałkę za zapałką — blada —
Zapala — i w jej rączce
Każda zapałka zapowiada
Sztandary łopoczące.

Jak podpalona czarna sala,
Noc płonie coraz jaśniej —
To zapałkami mrok podpala
Dziewczynka z dawnej baśni.

## DO RIMBAUDA

Aniele gniewu i goryczy,
Janie Arturze!
Namiętne słowo twoje krzyczy
W wysokiej chmurze!

Jak barbarzyńcy Rzym stuoki
Spalili w bojach,
Spala schyłkowość twej epoki
Zła muza twoja!

Synu wojennych dni Europy,
Widmo wybladłe,
Na oceanach silne stopy
Odważnie kładłeś!

Zajrzałeś w otchłań. Gdzież ratunek?
Gdzie kres podróży?
Czy cię przerazi pocałunek
Potężnej burzy?

Na polach Francji zima. Wersal
Zdusił Komunę,
A ty w uśpionych budzisz sercach
Gorącą strunę.

Tam dzieci marzną przed piekarnią
Z oskomą w ustach:
Ani ich gwiazdy nie nakarmią,
Ni noc francuska.

I cóż Europa stara da ci,
Brzęcząca trzosem?
Biały do czarnych wołasz braci
Czerwonym głosem!

Aniele gniewu, ty jak Samson,
Wyższy niż góry,
Rzuciłeś w twarz wytwornym kłamcom
Zburzone mury!

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA

## PROLETARIUSZ

Pod murem więzienia w Madrycie
czuwają towarzysze.
Oni tej nocy do świtu
jak ja — nie będą spać.

Przy świetle małej lampki
Skulona w kącie na stołku
przesiedzi moja matka
bez ruchu całą noc.

Nie pęknie jej w piersi serce,
kiedy o brzasku wilgotnym
strażnicy mnie będą prowadzić
pod mur.

Rano syreny z fabryki
we mgle zajęczą nad miastem
i pójdą koledzy i matka
do pracy. Jak w każdy dzień.

Lecz gdy nadejdzie godzina
wielkiego obrachunku,
me imię jak pięść ściśniętą
wśród innych imion tysiąca
podniosą
w czerwonym
pochodzie.

TADEUSZ KROŃSKI

# Rewolucyjne serce i filozoficzna głowa

*...Filozofia stała się świecka; najlepszym tego dowodem jest fakt, że świadomość filozoficzna została wciągnięta w sam wir walki, i to nie tylko formalnie, ale do samej głębi.*

*(Z listu Marksa do Arnolda Rugego, wrzesień 1843).*

Na wybrane pisma filozoficzne Marksa i Engelsa [1]) składa się „Przyczynek do krytyki heglowskiej filozofii prawa", „Ludwik Feuerbach", (część pierwsza „Ideologii niemieckiej") oraz „Tezy o Feuerbachu". Pisma o kapitalnym znaczeniu dla historii doktryny marksistowskiej. „Przyczynek" — Marks występuje po raz pierwszy jako komunista (postulat zniesienia klasy proletariackiej). „Feuerbach". — próba materialistycznej wykładni ideologii. Wreszcie „Teza o Feuerbachu" — podwójna krytyka idealizmu i materializmu mechanicznego i sformułowanie fundamentalnego dla dalszych dziejów marksizmu pojęcia aktywności.

Pisma młodego Marksa i Engelsa mają niezmiernie rozległy horyzont filozoficznych i politycznych kierunków ówczesnego świata. Przede wszystkim Hegel i Feuerbach, obok nich cała plejada myślicieli lewicy heglowskiej: Bauer, Stirner, Hess itd. Wreszcie polityczny i filozoficzny Paryż. Marks opuścił Niemcy w październiku r. 1843 i udał się do Paryża. Piętnastomiesięczny pobyt Marksa w Paryżu wpłynął, jak wiadomo, decydująco na przyśpieszenie jego ewolucji od demokratycznego radykalizmu do komunizmu. Rozwój ekonomiczny był we Francji znacznie bardziej posunięty niż w Niemczech. Dalej — Francja przeszła przez doświadczenia dwóch rewolucji. Wreszcie — Francja ówczesna to rozkwit wszelkiego rodzaju doktryn socjalistycznych i komunistycznych, doktryn szczególnie dla Marksa interesujących jako krytyki reżimu ekonomicznego i społecznego. Nigdzie poza Francją świadomość klasowa proletariatu nie była tak silna, nigdzie też warstwa rządząca tak świadomie cyniczna. „Tego nie da się ukryć. Między klasami, które tworzą naród, toczy się walka na śmierć i życie. Dotąd istniały i istnieją we Francji trzy sfery interesów: interes klasy postawionej najwyżej, interes klasy średniej czyli burżuazji, i wreszcie interes ludu. Stawiam lud na ostatnim miejscu, bo zawsze był ostatni. Liczę na to, że w przyszłości zastosuje się do niego zasadę ewangelii: ostatni będą pierwszymi".

Słowa te powiedział Blanqui na posiedzeniu „Towarzystwa Przyjaciół Ludu" w roku 1832. Od czasu jego wystąpienia sytuacja klasowa we Francji uległa niewątpliwemu zaostrzeniu. Paryż w roku 1843 to już Paryż przedrewolucyjny, centrum politycznej i intelektualne rewolucjonistów całego świata. „A więc w Paryżu, w starej uczelni filozofów i w stolicy świata. W każdym razie jeszcze w tym miesiącu będę w Paryżu; tutejsze powietrze zupełnie mi już obrzydło, w Niemczech nie ma już przestrzeni dla mojej swobodnej działalności". (Marks do Arnolda Rugego). Francja miała dać sygnał do rewolucji europejskiej. Proletariat francuski miał uwolnić wszystkie uciemiężone ludy Europy. Ostatnie zdanie „Przyczynka' brzmi: „Kiedy dopełnią się wszystkie warunki wewnętrzne, odrodzenie ducha niemieckiego obwieści gromkie pianie gallickiego koguta".

„Przyczynek" ukazał się w pierwszym (i zarazem ostatnim) numerze „Roczników francusko-niemieckich", projektowanego organu aliansu myśli niemieckiej i francuskiego ruchu rewolucyjnego. Ludwik Feuerbach wyraził się kiedyś, że „prawdziwy myśliciel powinien mieć serce francuskie i głowę niemiecką". Henri Lefebvre proponuje parafrazę feurbachowskiego życzenia: rewolucyjne serce i filozoficzna głowa[2]). Parafraza niewątpliwie piękna i uzasadniona. Przypomnijmy: „Filozofia jest głową emancypacji ludzkości. Proletariat jest jej sercem. Filozofia nie może się zrealizować bez zniesienia proletariatu a proletariat nie może być zniesiony bez realizacji filozofii". („Przyczynek")

„Filozofowie rozmaicie tylko interpretowali świat; w tym jednak rzecz, aby go zmienić". (11 teza o Feuerbachu). Pierwsza myśl oświetla drugą. Marks mówiąc o różnych interpretacjach świata, nie dopuszcza bynajmniej możliwości, żeby mogły one być „teoretycznie" słuszne — ani nie mówi, że trzeba je odrzucić tylko dlatego, iż są bezużyteczne w jakimś prostackim, pragmatystycznym rozumieniu. Taka wykładnia myśli Marksa świadczyłaby o całkowitym niezrozumieniu jej. Marks powiada tylko: człowiek poznaje świat w procesie swej praktycznej, przekształcającej ten świat, działalności. Szukać innego poznania poza tym, które daje nam owa praktyczna działalność oraz teoretyczne uogólnienie jej doświadczeń — to szukać czegoś, czego nie ma. Istnieje świat materialny, podlegający ustawicznym transformacjom, także transformacjom dokonywanym przez człowieka, świat poznawalny właśnie dlatego, że go można przekształcać. 11 teza musi być czytana (i cytowana) zawsze w kontekście całości. Wyabstrahowana — pozostaje pokusą do najbardziej obłędnych interpretacji marksizmu. Opierając się na wyabsolutnionej z całości 11 tezie chciano m. in. widzieć pokrewieństwo między marksizmem a pragmatyzmem czy nawet „filozofią" Heideggera. 11 teza to z jednej strony wyzwanie rzucone „obiektyzmowi" naukowemu, z drugiej — klamra spajająca całość 11 tez, dobitne podkreślenie całego absurdu postawy „czysto" naukowej, kontemplacyjnej.

Proletariat nie tylko może, ale musi szukać prawdy powszechnej i obiektywnej. Dlaczego? Najpierw dlatego, że zwycięstwo nauki, prawdy obiektywnej leży w jego interesie, bo nauka dezawuuje społeczne zaplecze ideologii wrogich proletariatowi; kompromituje te ideologie pokazując, czym są naprawdę: instrumentem walki obozu reakcyjnego. Następnie — rewolucyjna aktywność proletariatu jest zarazem aktywnością naukową: proletariat walcząc o swoją wolność, posługuje się metodami naukowymi. Bez podstawy filozoficznej materializmu dialektycznego i historycznego, bez znajomości praw przyrody i historii, zwycięstwo proletariatu byłoby niemożliwe. Oczywiście, o prawdę naukową, o „filozofię" walczył kiedyś obóz burżuazji. Robił to jednak w czasach swego wzlotu, jako klasa zdrowa, walcząca z przeżytkami feudalizmu. To, co wyróżnia jednak proletariat od innych klas postępowych w przeszłości, to fakt, że jest on ostatnią klasą społeczną; znosząc siebie jako klasę — proletariat obdaruje zarazem naukę wolnością, jakiej nie zaznała nigdy. To jest właśnie ów cud, jedyny w swoim rodzaju: klasa proletariacka właśnie wtedy, gdy walczy w imię własnych interesów, walczy o zwycięstwo prawdy obiektywnej. Taki jest sens marksistowskiego twierdzenia o filozofii jako głowie ruchu wyzwalającego ludzkość i o proletariacie jako jego sercu.

Ludwik Feuerbach

Historycy marksizmu są zgodni w opinii, że aktywistyczny, rewolucyjny charakter poglądów Marksa od roku 1844 — nawiązując do poglądów rewolucjonistów francuskich zarazem je przezwyciężał. Bo przedmarksowski ruch komunistyczny, chociaż można w nim znaleźć dużo z elementów konstytuujących marksizm, był jednak ruchem utopijnym. U licznych rewolucjonistów francuskich cóż za melanż sentymentalizmu, chrześcijańskiego, ewangelicznego egalitaryzmu z często źle pojętymi myślami Saint Simona czy Fouriera i marzeniami o złotym wieku przedkapitalistycznym. „Trzeba wyraźnie podkreślić — pisze Lefebvre w cytowanej wyżej pracy — że myśl marksistowska ukształtowała się poprzez krytykę komunizmu" (przedmarksowskiego). Hasła wspólnoty kobiet, sentymentalne postulaty „powrotu do człowieka biednego", do przedkapitalistycznej przeszłości budziły w Marksie odrazę („apogeum żądzy niwelatorstwa").

Jeżeli jednak myśl marksistowska kształtowała się poprzez krytykę sentymentalnego i naiwnego komunizmu utopistów, kształtowała się niemniej poprzez krytykę radykalizmu lewicy młodoheglowskiej. W „Pismach wybranych" ta właśnie krytyka odgrywa rolę decydującą. Jaki jest stosunek Marksa i Engelsa do lewicy młodoheglowskiej, kim był i co mówił najgłośniejszy jej przedstawiciel Ludwik Feuerbach?

Naczelnym pojęciem szkoły heglowskiej było pojęcie alienacji. O alienacji (w znaczeniu heglowskim) mówi się wtedy, gdy jakaś istota (u Hegla duch absolutny) dokonuje eksterioryzacji („wyosobnienia") czegoś, co tworzyło jej esencję, i spogląda potem na to coś, jak na byt inny niż ona sama, jak na rzeczywistość, która jest jej przeciwstawna i obca. Idea alienacji ma swe źródła w religijnym micie o stworzeniu świata. A ponieważ Heglowi chodziło o obronę i usprawiedliwienie aktualności państwa pruskiego, dał on teorii alienacji odpowiednio optymistyczną interpretację. Duch absolutny, alienując się w świecie, poznaje się sam w biegu jego dziejów. „W tym sensie możemy powiedzieć, że historia powszechna jest tylko wyrazem sposobu, w jaki duch dochodzi do świadomości tego co stanowi jego esencję". Hegel — („Filozofia historii", Wstęp). Ale sposób, w jaki duch dochodzi do świadomości tego co stanowi jego esencję, może być tylko natury racjonalnej, logicznej. Stąd historia jest tylko wyrazem rozwoju racjonalnego a więc rozwoju koniecznego, któremu podlega duch (panlogizm filozofii Hegla — sprowadzenie ruchu historycznego do ruchu myśli). Chęć apologii państwa pruskiego każe Heglowi proklamować marność każdej próby zamachu na ustrój. „Co jest realne, jest też racjonalne, a co jest racjonalne, jest też realne" (tamże). „Ptak Minerwy wstaje dopiero z zapadnięciem nocy" (tamże). Co znaczy ostatni aforyzm? Mądrość (uosobiona przez sowę) wtedy dopiero rozpoczyna swe dociekania, gdy wszystko właściwie skończyło się; filozofia powinna poniechać wszelkich spekulacji na temat przyszłości. Jak zmusić sowę Minerwy, by żyła także w ciągu dnia, jak zrobić z filozofii narzędzie walki o postęp? Dokonać tego próbował Ludwik Feuerbach.

Ludwik Feuerbach (1804—72), syn znanego kryminologa, był uczonym prywatnym; musiał zrezygnować z kariery uniwersyteckiej z powodu swych poglądów filozoficznych.

Przejmując od Hegla pojęcie alienacji, dał jej Feuerbach aspekt zupełnie nowy, aspekt rewolucyjny. Nie człowiek jest alienacją Boga (czy ducha absolutnego), ale Bóg jest alienacją człowieka. Nie Bóg stworzył człowieka, ale człowiek stworzył Boga. Religia jest winna wszelkiej niesprawiedliwości, wszelkich klęsk społecznych. Bo (feuerbachowska teoria alienacji) religia odarła człowieka z jego własnej istoty przez to, że wyalienował on swe istotne przymioty i obdarzył nimi twór swoich myśli — Boga. Z chwilą gdy uwierzył w Boga, stał się duchowo biedniejszy, skarlał. Odarty ze swej własnej esencji, musi teraz pędzić życie egoisty, złe życie oderwane od życia zbiorowego, na które z natury (zgodnie ze swą esencją) jest skazany. Jak sprowadzić cud, aby ludzie stali się lepsi, by żyli zgodnie ze swą esencją? Trzeba w tym celu obalić wiarę w Boga, przekształcić religię objawioną w religię ludzkości. Tylko człowiek areligijny a więc człowiek wolny od egoizmu (człowiek religijny jest odarty ze swej esencji, musi więc być egoistą) może się stać pełnowartościowym członkiem społeczeństwa.

Feuerbach, przezwyciężając heglowską ideę alienacji i usiłując przywrócić człowieka społeczeństwu, stanowi niewątpliwie olbrzymią pozycję w dziejach myśli postępowej. Jego pesymistyczna wykładnia alienacji znajduje konkretną, społeczną treść w pojęciu alienacji u Karola Marksa (alienacja pracy robotnika w towarze, który produkuje on dla kapitalisty). Dalej — Feuerbach był materialistą („to myśl wywodzi się z bytu, a nie byt z myśli"); rola jaką odegrał materializm Feuerbacha w kształtowaniu się poglądów Marksa i Engelsa, nie ulega wątpliwości. A jednak marksizm ukonstytuował się w znacznym stopniu właśnie poprzez przezwyciężenie materializmu Feuerbacha i jego antyreligijnej koncepcji alienacji. Dlaczego? Bo materializm Feuerbacha był metafizyczny, ahistoryczny. Człowiek Feuerbacha — produkt przyrody nie zmienia się, nie ma historii, jest wiecznie ten sam, ponadczasowy. Jako człowiek „wieczny" popełnił kiedyś grzech alienacji i grzech ten jest źródłem wszystkich jego nieszczęść.

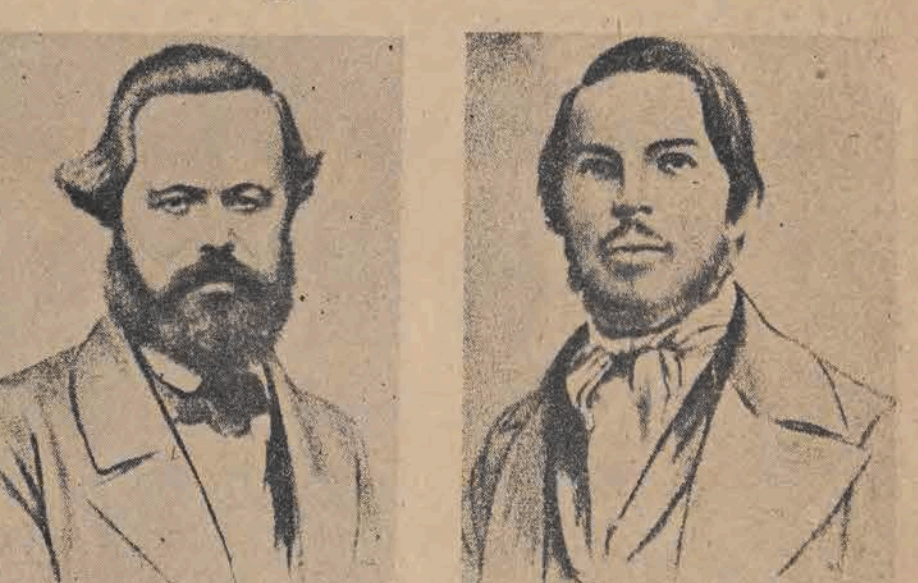
Karol Marks i Fryderyk Engels w okresie powstania Manifestu Komunistycznego

W ten sposób wrogi postępowi system religijny czy filozoficzny staje się dla metafizycznego materialisty Feuerbacha jedyną barierą na drodze do humanizacji życia. Feuerbach nie rozumiał, że religia jest tylko ideologicznym obrazem interesów klasy rządzącej. Nie rozumiał, że proste stwierdzenie: „Boga stworzył człowiek a nie człowieka Bóg" — jako podstawa całego systemu, jest tylko odwróceniem myśli chrześcijańskiej i heglowskiej.

Marks podejmuje twierdzenie Feuerbacha, daje mu jednak wykładnię absolutnie nową. „Człowiek tworzy religię, religia nie tworzy człowieka... Człowiek nie jest jednak istotą oderwaną, tkwiącą poza światem. Człowiek — to świat człowieka, państwo, społeczeństwo... Krytyka nieba przeobraża się w ten sposób w krytykę ziemi, krytyka religii w krytykę prawa, krytyka teologii w krytykę polityki".

Marksowska krytyka religii prowadzi do krytyki urządzeń państwowych, wreszcie do rewolucji i zwycięstwa proletariatu. Feuerbachowska krytyka religii poprzestaje na samej sobie, nie prowadzi do niczego. Cała walka o postęp sprowadza się u Feuerbacha do operacji wycięcia z niekonkretnej, pozahistorycznej świadomości niekonkretnego człowieka — tworu tej świadomości: Boga. „Dopóki Feuerbach jest materialistą, nie występuje u niego historia... „Dopóki Feuerbach twierdzi tylko, że człowiek jest produktem przyrody a myśl produktem człowieka, traktuje go jako istotę abstrakcyjną, pozaklasową. „...O ile bierze pod uwagę historię, nie jest materialistą" („Ludwik Feuerbach"). Myśląc o historii, nie widzi prawdziwego jej motoru, walki klas; prawdziwą sprężyną wszystkiego co się działo lub dzieje, jest dla Feuerbacha tylko Bóg. „Młodoheglíści zgadzają się ze staroheglistami pod tym względem, że wierzą w panowanie religii, pojęć, pierwiastka ogólnego w istniejącym świecie. Tylko, że jedni zwalczają to panowanie, gdy drudzy oddają mu cześć jako panowaniu prawowitemu" (tamże).

Z poglądów Feuerbacha jak z poglądów całej szkoły młodoheglowskiej wyziera głęboki antyhistoryzm, wiara w wiecznego człowieka, którego należy wyleczyć z choroby — religii — za pomocą perswazji, nauki, oświaty. Podobny mit występuje u materialistów francuskich XVIII wieku. Z tą różnicą, że gdy u ostatnich atak na religię prowadzony z pozycji „wiecznego człowieka", był niewątpliwie potężnym uderzeniem „in tyrannos", to u drugich „ten sam atak" raził już znacznie słabiej. Kat palił kiedyś publicznie dzieła Holbacha i Helwecjusza, za posiadanie druków antyreligijnych groziło więzienie i często śmierć, ale książki Straussa, Bauera i Feuerbacha można było nabywać swobodnie. (Co prawda, Feuerbach zwichnął sobie karierę właśnie z powodu swych poglądów). Nie ulega wątpliwości, że młodoheglowski atak na religię był szczególną próbą przezwyciężenia konserwatywnej strony filozofii Hegla. Ale że potrzeba nowego uderzenia w „tyranów" nie wyraziła się w krytyce instytucji państwowych, tylko przede wszystkim w ataku na Boga, nie świadczyło to zbyt pochlebnie o lewicy młodoheglowskiej. Stąd szyderstwa Marksa pod adresem antyreligiantów: „rewolucja, wobec której francuska jest dziecinną igraszką", „bohaterowie myśli" i przede wszystkim „owce w wilczej skórze" („Ludwik Feuerbach").

Tak wyglądał niemiecki horyzont pism młodego Marksa i Engelsa. A Francja? We Francji zastał Marks coś podobnego, co widział w Niemczech. Współczesny historyk francuski August Cornu tak charakteryzuje teoretyków francuskiego socjalizmu z paryskiego okresu życia Marksa. „Wierzą oni, że najważniejszą rzeczą jest przekonać ludzi o doskonałości ich projektów. Konflikty mas przybierają u nich charakter konfliktów moralnych; to, co dzieli ludzkość, to nie tyle przeciwieństwa społeczne, ile różnice moralne. Zagadnienie społeczne zaczyna się przekształcać w zagadnienie wychowawcze i tak, zamiast w sprawie swych projektowanych reform apelować do proletariatu, zwracają się oni do narodu w ogóle, przede wszystkim do oświeconej burżuazji, apelują do jej uczuć ludzkości i sprawiedliwości[3]).

Myśl Karola Marksa formuje się przeciw Heglowi, przeciw młodoheglistom i przeciw francuskim utopistom. Wyzwolenie człowieka może się dokonać tylko przez wyzwolenie klasy proletariackiej. W „Przyczynku" Marks patrzy jeszcze na proletariat raczej jako na środek walki o wyzwolenie Niemiec i ludzkości. Jest dopiero jak gdyby w trakcie zrywania z heglowską i z młodoheglowską koncepcją alienacji, dając jej oczywiście już własną wykładnię. W pierwszych miesiącach swego pobytu w Paryżu zawiązuje się przyjaźń Marksa z Engelsem, przyjaźń o tak kapitalnym znaczeniu dla historii marksizmu. Engels ukazuje Marksowi fundamentalne znaczenie, jakie dla polityki ma ekonomia.

„Ideologia niemiecka" jest wspólnym dziełem obu myślicieli. Jej pierwsza część — „Ludwik Feuerbach" — sformułowana w zarysie doktryna materializmu historycznego, jest już dziełem całkowicie dojrzałym.

**Tadeusz Kroński**

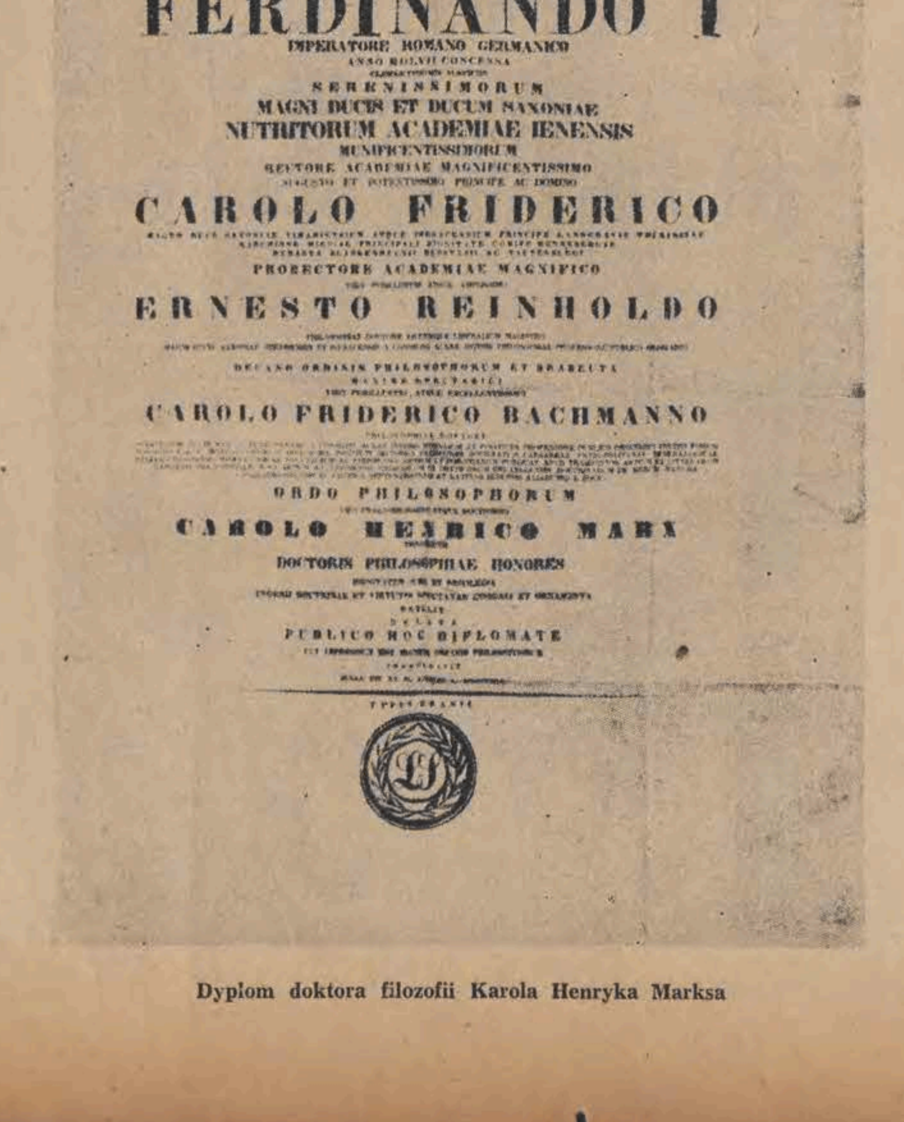
QUOD
FELIX FAUSTUMQUE ESSE IUBEAT
SUMMUM NUMEN
AUCTORITATE
HUIC LITTERARUM UNIVERSITATI
AB
FERDINANDO I
IMPERATORE ROMANO GERMANICO
SERENISSIMORUM
MAGNI DUCIS ET DUCUM SAXONIAE
NUTRITORUM ACADEMIAE IENENSIS
MUNIFICENTISSIMORUM
RECTORE ACADEMIAE MAGNIFICENTISSIMO
CAROLO FRIDERICO
PRORECTORE ACADEMIAE MAGNIFICO
ERNESTO REINHOLDO
CAROLO FRIDERICO BACHMANNO
ORDO PHILOSOPHORUM
CAROLO HENRICO MARX
DOCTORIS PHILOSOPHIAE HONORES
PUBLICO HOC DIPLOMATE

Dyplom doktora filozofii Karola Henryka Marksa

1) K. Marks i F. Engels: Wybrane pisma filozoficzne 1844 — 1846. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949. Czytelnikowi „Wybranych pism filozoficznych" radzę zacząć lekturę od „Feuerbacha", następnie przestudiować tezy i dopiero potem wziąć się do „Przyczynku".

2) H. Lefebvre: „Pour connaître la pensée de Karl Marx", Paryż, 1947.

3) A. Cornu: „Karl Marx et la pensée moderne", Paryż, 1948.

## MIHAIL EMINESCU — w stulecie urodzin
### (17. I. 1850—15. VI. 1889)

Epoka, w której żył i tworzył najznakomitszy poeta rumuński Michał Eminescu, była epoką wielkich wstrząsów i przemian społecznych. Otwierała ją rewolucja roku 1848, zamykały odgłosy szykującego się marszu klasy robotniczej. W Rumunii, która podówczas leżała na uboczu wielkich szlaków historycznych, kapitalizm z trudem torował sobie drogę pośród gęstwiny reliktów feudalnych. Kraj znajdował się we władzy wielkich właścicieli ziemskich. Przemysłowcy i finansjera dopiero dochodzili do głosu. W drugiej połowie 19-go wieku Rumunia była typowym krajem kontrastów społecznych: obszarniczej samowoli i zacofania kulturalnego, magnackich fortun i skrajnej nędzy.

Te mroki zalegające kraj, prześwietla, jak błyskawica, myśl poetycka Michała Eminescu. Sprzeczności epoki odbiły się w dziele Eminescu z wyrazistością niepospolitą. Wyzwoleńczy nurt ideowy jego poezji, pełen buntu przeciwko ciemiężycielom ludu i humanistycznego umiłowania człowieka, zbacza niekiedy na mielizny lub z trudem przebija się przez skały i zapory. Te dywagacje i okresy zwątpienia usiłowali wykorzystać reakcyjni krytycy rumuńscy i przywłaszczyć poetę obozowi, którego Eminescu był wrogiem. Głównym motywem twórczości autora „Życia" była bowiem bez wątpienia walka o wyzwolenie ludu, głęboka dla tego ludu sympatia i postępowa myśl społeczna. Świadectwem takiej postawy jest mnóstwo poematów i wierszy; dość wspomnieć o „Cesarzu i proletariuszu", „Życiu", „Listach", „Moim krytykom" itp.

Michał Eminescu zrewolucjonizował literacki język swojego kraju. Krytycy uważają go za twórcę rumuńskiego języka literackiego, który błysnął w jego wierszach niespotykaną dotychczas różnorodnością i bogactwem barw i odcieni. Krynicą słowotwórstwa Eminescu był folklor: baśń i pieśń ludowa. Pierwiastki ludowe przeszły w jego poezji twórczą metamorfozę, która objawiła czytelnikowi piękno i czar języka rumuńskiego. Wiersze Eminescu z kunsztowną prostotą i wnikliwością odtworzyły tęsknoty, myśli i uczucia prostego ludu, jego wielkość i gniew, jego marzenia o wolności. W malowaniu uczuć ludzkich, zwłaszcza miłości, był Eminescu mistrzem niezwykłym. W „Śpiących ptakach", w „Pragnieniu", w „Z otchłani czasu" widzimy subtelnego liryka.

Eminescu czerpał natchnienie dla swej twórczości z życia. Jako sufler wędrownej trupy teatralnej, jako student-tułacz, jako tragarz zwiedził całą Rumunię, mając możliwość dokładnego poznania życia ludzi pracy. Łączyła go z ludem jeszcze jedna więź — nędza, która towarzyszła mu do końca życia. Stąd tyle goryczy w jego wierszach, tyle gniewu i wiary w wyzwolenie ludzi poniżonych.

W Ludowej Republice Rumuńskiej twórczość Eminescu doczekała się właściwej oceny. Jego dzieła, wydawane w olbrzymich nakładach, niosą w lud urok poetyckiego słowa i żar myśli wyzwoleńczej; stały się — mówiąc słowami Eminescu — „myślą i owocem ludu". **Zet**

NATALIA MODZELEWSKA

# Droga twórcza Mikołaja Gogola

W ciężkich czasach wypadło Gogolowi (1809—1852) rozpocząć swoją działalność. Trzydziestoletnie panowanie Mikołaja I (1825—1855), znane jako epoka mikołajowskiej reakcji, stanowi jedną z najbardziej ponurych kart historii caratu.

Zdławienie powstania dekabrystów (1825), krwawe rozgromienie polskiego powstania w r. 1830—1831, utworzenie centralnego organu tajnej policji, której sieć pajęcza oplotła cały kraj, polityka zastraszenia własnego narodu w celu utrzymywania go w duchu wiernopoddańczym, pomoc wojenna przy zduszeniu rewolucji we Włoszech w r. 1848 i na Węgrzech w r. 1849 — oto wyczyny, którymi szczycił się się Mikołaj Pałkin, żandarm Europy.

Rząd mikołajowski przy pomocy ustawodawstwa i siły zbrojnej zabezpieczał klasie obszarników możność nieograniiczonego wyzyskiwania chłopów, wbrew interesom ekonomicznym Rosji, w której już zaczynał się rozkład ustroju feudalno - pańszczyźnianego, wywołany rozwojem pierwiastków kapitalistycznych.

Żadne represje nie mogły wstrzymać dojrzewania kryzysu pańszczyzny. Buntowali się chłopi, robotnicy fabryczni, żołnierze. Coraz częściej wybuchały żywiołowe powstania na wsi.

W oświeconych warstwach społeczeństwa okres przygnębienia i zamieszania, który nastąpił po klęsce dekabrystów, ustępował miejsca nowej fali ruchu postępowego.

Z początkiem lat 30-ych zjawiają się kółka studenckie Hercena i Stankiewicza, w połowie tegoż dziesięciolecia z krytyką „prawomyślnych" poglądów występuje Czaadajew i rozpoczyna swoją demokratyczną działalność genialny krytyk Bieliński.

Lecz debiut Gogola przypadał jeszcze na lata głębokiej depresji w społeczeństwie. Cenzura pełniła funkcje policyjne na polu literatury. Szef żandarmów Benkendorf oznajmił: „Przeszłość Rosji jest podziwu godna, teraźniejszość jest więcej niż wspaniała..." Zgodnie z tym oświadczeniem, w czasopismach oficjalnie lansowanych panował ton rozpasanego pochlebstwa i opiewania caratu. Grafomani typu Bułgarina i Grecza, których niejednokrotnie chłostał epigram Puszkina, uprawiali intrygi i donosicielstwo, prześladując niezależnie myślących literatów.

W tej atmosferze ucisku i obłudy myśl postępowa musiała ukrywać się albo przebierać w szaty ezopowskie, ażeby przedostać się na łamy prasy.

Nad literaturą szlachecką (innej jeszcze w Rosji nie było) jakby ciążyło fatum czasów ciemnoty. Zginął na szubienicy poeta Rylejew, dekabrysta, powolną śmiercią umierali na Sybirze jego zwolennicy i towarzysze, poeci Odojewski i Küchelbecker. Zginął w podejrzanych okolicznościach z rąk fanatycznego tłumu Gribojedow, wysłany a raczej zesłany do Persji po napisaniu znakomitej komedii satyrycznej „Biada rozumowi".

Puszkin, którego geniusz osiągnął fazę pełnej dojrzałości, nie mógł tworzyć swobodnie i spokojnie, szczuty przez carskich zauszników. Coraz głębiej zaplątywał się w sidła, które snuła nookoło niego inspirowana przez despotę koteria, aż zginął w pojedynku sprowokowanym przez intrygantów dworskich.

Żukowski, którego era świetności poetyckiej właściwie minęła, godził się na rolę dworzanina i pocieszał swoje sumienie tym, że korzystając z życzliwości „najjaśniejszego pana" może łagodzić los swoich przyjaciół, kiedy ściągają na siebie niełaskę.

Młody Lermontow nie znajdował w otaczającej go rzeczywistości nic godnego miłości i szacunku, stąd tyle goryczy, tyle beznadziejnej tęsknoty i negacji w jego poezji:

> **Ze smutkiem patrzę dziś na nasze**
> **pokolenie**
> **Droga jego przyszłości pusta**
> **albo ciemna.**

Zginął w pojedynku, zanim zdążył rozwinąć się jego olbrzymi talent. Koniec ten nie był przypadkowy: poeta gardził życiem, pojedynkował się chętnie, jakby szukając śmierci.

Zaiste, można było powtórzyć za Küchelbeckerem:

> **Od wieków ciężkie są poetów losy,**
> **Najbezlitośniej los katuje Rosję...**

Nie mniej tragiczny był los Gogola.

*

Całą twórczość Gogola łatwo da się podzielić na dwa okresy.

Pierwszy (1831—1841), kiedy talent jego z każdym nowym utworem wspaniale się rozwija i osiąga szczyt w arcydziełach „Rewizor" i pierwsza część „Martwych dusz".

Drugi okres (1842—1852) zaczyna się kryzysem psychicznym i twórczym, który trwa długie lata, pogłębia się i w końcu doprowadza do zupełnego wyczerpania i przedwczesnej śmierci pisarza. Gogol, opętany przez mistyczną ideę swojego posłannictwa mającego uratować Rosję, wyrzeka się dotychczasowej twórczości, rzuca klątwę na własne arcydzieła jako „niemoralne i grzeszne", i usiłuje pisać zgodnie z nowymi, reakcyjnymi koncepcjami. Tragiczne zmagania się artysty z reakcyjnym mistykiem kończą się klęską artysty. Sam spala olbrzymią swoją pracę — drugą część „Martwych dusz". Ocalałe fragmenty, mimo przebłysków dawnego mistrzostwa, na ogół świadczą o jego artystycznym upadku.

Toteż mówiąc o Gogolu, genialnym realiście i satyryku, można mówić jedynie o Gogolu pierwszego okresu. Pierwszym utworem, który zwrócił na Gogola uwagę krytyki i publiczności, były „Wieczory na chutorze koło Dikańki", opowiadania o życiu wsi ukraińskiej (1831). Swoisty koloryt lokalny, soczysty i obrazowy język, mocno przyprawiony słownictwem ukraińskim, malownicza obyczajowość, w pewnym stopniu egzotyczna dla czytelników rosyjskich, a nade wszystko niewymuszony, iście ludowy dowcip — sprawiły na wszystkich niezwykłe wrażenie.

W liście do Wojejkowa Puszkin pisał: „Przed chwilą przeczytałem „Wieczory koło Dikańki". Byłem zdumiony. Oto prawdziwa wesołość, szczera, naturalna, bez zgrywania się, bez pretensjonalności. A w wielu miejscach — ileż poezji, ileż uczucia! Wszystko to jest tak niezwykłe w literaturze naszej, że dotąd jeszcze nie mogę się ocknąć... Winszuję publiczności wyjścia książki naprawdę wesołej".

Istotnie, książka ta miała na celu zabawić czytelnika wesołymi przygodami i trochę postraszyć fantastyką zaczerpniętą z guseł ludowych. Autor, rozkochany w Ukrainie swoich lat dziecięcych, rozkoszował się wspomnieniem jej przyrody i obyczajów, i czytelnik rozkoszował się razem z nim. Tu śmiech Gogola jest jeszcze dobroduszny i łagodny: ze swych postaci Gogol z lekka pokpiwa, ale nie szydzi, wieś ukraińską poetyzuje i przyozdabia, ukazując ją na ogół sielankowo. Smutne nuty, które przebijają się niekiedy przez ogólny ton wesołości, nic tej wesołości nie ujmują, uzupełniając całość odcieniem lirycznej zadumy.

Dziwne mogłoby się wydawać, że w północnej stolicy, w Petersburgu, gdzie Gogol doznał wiele niepowodzeń i rozczarowań, powstał utwór tak słonecznie beztroski. W istocie nie ma w tym nic dziwnego. Im bardziej ponura była teraźniejszość, tym chętniej pisarz zwracał się ku przeszłości i tym łatwiej było mu ją idealizować. Poza tym, mamy tu do czynienia z właściwością jego charakteru, o której później napisał w „Spowiedzi autorskiej".

„Przyczyna tej wesołości, którą zauważono w pierwszych drukowanych moich utworach, tkwi w pewnej potrzebie duszy. Miewałem napady melancholii, dla mnie samego niezrozumiałej, spowodowanej być może chorobliwym stanem moim. Dla własnej rozrywki wyobrażałem sobie najbardziej wesołe rzeczy, jakie tylko mogły mi przyjść do głowy. Wymyślałem najśmieszniejsze postaci i charaktery, umieszczałem je w najkomiczniejszych sytuacjach, bynajmniej nie troszcząc się o to, dlaczego to robię i czy będzie z tego jakiś pożytek..."

Myliłby się jednak, kto chciałby na podstawie tego wyznania sprowadzić śmiech gogolowskich utworów do roli odtrutki na melancholię ich autora. Śmiech, tak jak smutek, o którym wspomnieliśmy, był nieodłączny od samej istoty jego talentu. Zmieniał się tylko ich charakter, wzajemny stosunek i funkcje w procesie rozwoju jego twórczości.

Już w nowelach i opowieściach, które ukazały się w r. 1835, znacznie zmienia się ton ogólny i postawa autora wobec materiału. Wzmacnia się wyraźnie akcent kpiny, postacie nie tylko śmieszą, lecz budzą odrazę, spoza lekkiej fabuły wyziera ponura rzeczywistość. Widzimy beznadziejną pustkę życia ziemiaństwa na prowincji, jego obżarstwo, nieróbstwo i ignorancję („Staroświeccy ziemianie", „Opowieść o tym, jak Iwan Iwanowicz pokłócił się z Iwanem Nikiforowiczem"), lub rażące kontrasty życia stołecznego: zbytek i nędzę, pychę dygnitarzy i pochlebstwo podwładnych, naiwne ideały marzycieli — triumf banalności i rozpusty („Notatki wariata", „Portret", „Newski Prospekt").

W tych utworach nie znajdziemy już dobrodusznej wesołości, tu śmiech staje się orężem satyry. Autor przybiera postać prostaczka, który sam należy do świata opisywanych potworków i opowiada o nich niby to ze szczerym podziwem lub współczuciem. Chwyt ten pozwala mu ujaskrawiać śmieszność i nicość swoich bohaterów z siłą, którą rzadko osiąga ironia jawna. Gogol używa tego chwytu z nieporównanym kunsztem. Czytelnik nie łudzi się co do prawdziwej postawy autora, który wreszcie zrzuca przybraną maskę i kończy akordem głębokiego smutku, jak w opowieści o Iwanu Iwanowiczu i Iwanu Nikiforowiczu: „Nudno jest na tym świecie, panowie!"

Historyczna powieść „Taras Bulba", napisana w tym samym okresie, zajmuje miejsce osobne. Jest to bohaterska epopea o zaporoskiej Siczy. Tu znalazły ujście całkiem inne nastroje Gogola: zamiłowanie do starych dziejów, do potężnych charakterów, do patosu uczuć patriotycznych, na których tle maleją konflikty osobiste. Jak niegdyś, zwrócił się i tu ku przeszłości, tym razem bardzo odległej, ażeby znaleźć w niej to, czego nie mogła dostarczyć jego wyobraźni szara teraźniejszość.

Bieliński pierwszy wskazał w r. 1835 na szczególne cechy gogolowskiej sztuki pisarskiej: jej charakter narodowy, prostotę fabuły, prawdę artystyczną i komizm, który zawsze ustępuje miejsca tęsknemu uczuciu. Prawie wszystkie opowieści Gogola, mówi Bieliński, są najpierw śmieszne, w końcu smutne. Obok tych cech wielki krytyk zaznacza jeszcze jedną, bodajże zasadniczą: **typowość** gogolowskich postaci, z których prawie każda jest jaskrawym uosobieniem jakichś właściwości natury ludzkiej.

Jeżeli chodzi o opinię współczesnej Gogolowi krytyki, można stwierdzić fakt bardzo znamienny. O ile pierwszy, bynajmniej nie doskonały utwór jego, „Wieczory", zyskał mu jednomyślną aprobatę, o tyle w miarę dojrzewania i pogłębiania się jego artyzmu krytyka i opinia publiczna coraz wyraźniej dzieliła się na dwa obozy, żeby wreszcie zająć postawy wręcz odmienne: demokratyczną i reakcyjną.

Krytykę demokratyczną, z Bielińskim na czele, charakteryzowała stałość i konsekwencja: pierwsza oceniła ona nową sławę literatury rosyjskiej, a w każdym następnym dziele Gogola umiała wskazać elementy najbardziej cenne artystycznie i ważkie społecznie. Lecz kiedy w r, 1847 ukazały się „Listy do przyjaciół", będące wyrazem wstecznych poglądów Gogola, Bieliński nie zawahał się odpowiedzieć listem, w którym wyraził oburzenie całej postępowej Rosji.

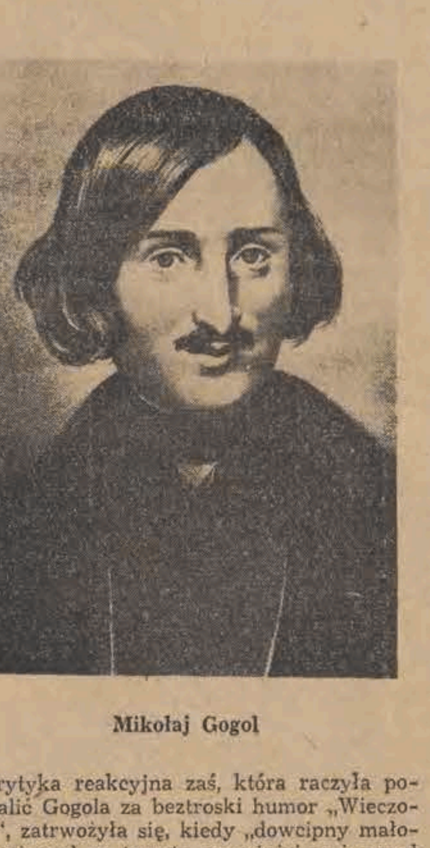

Mikołaj Gogol

Krytyka reakcyjna zaś, która raczyła pochwalić Gogola za beztroski humor „Wieczorów", zatrwożyła się, kiedy „dowcipny małorus" sięgnął po tematy poważniejsze i zaczął ukazywać życie rosyjskie nie tylko od strony wesołej i nie tylko w celach rozrywki. „Rewizor" i „Martwe dusze", te arcydzieła literatury światowej, wywołały już otwarte oburzenie obrońców istniejącego porządku. Za to „Listy do przyjaciół" z nadzwyczajną szybkością pogodziły tychże obrońców obskurantyzmu z nowonawróconym jego zwolennikiem.

Temat „Rewizora", podobnie jak temat „Martwych dusz", dał Gogolowi Puszkin. Odstąpił mu pomysły własnych utworów, nad którymi zamierzał pracować. Już sam ten fakt charakteryzuje stosunki między obydwoma pisarzami. Dla Gogola Puszkin był najdoskonalszym artystą i najwyższym autorytetem w sprawach sztuki. Puszkin zaś, wtedy już powszechnie uznana sława poetycka, ze szczerą radością witał rosnący talent Gogola, przewidując jego olbrzymie znaczenie dla literatury rodzimej.

„O mnie dużo mówiono, ale samej istoty mojej nikt nie określił. Wyczuwał ją jedynie Puszkin" — pisał później Gogol w liście do przyjaciela.

I jeszcze:

„Puszkin zmusił mnie, ażebym zaczął traktować moje pisarstwo poważnie... Powiedział mi: „Jakżeż można, mając zdolność do zgadywania człowieka i określenia go w kilku rysach całkiem i żywcem, jakżeż można z taką zdolnością nie zabrać się do pisania większego dzieła! Przecież to grzech!" („Spowiedź autorska").

Pod wpływem Puszkina Gogol postawił sobie zadanie społeczne: dać ostrą satyrę na swoją współczesność. Tak powstał w r. 1835 „Rewizor".

Doskonałość tej komedii dzisiaj, sto piętnaście lat po jej napisaniu, jest jasna dla każdego. Obok „Tartuffa" i „Wesela Figara", należy do najwyższych wzorów satyry scenicznej.

Fabularne jądro „Rewizora" stanowi zabawna anegdota. Na wieść o rewizorze, który ma incognito odwiedzić prowincjonalne miasteczko, wszystkich miejscowych urzędników ogarnia przerażenie: każdy ma na sumieniu nadużycia i wiele innych grzechów. Zaślepieni strachem, biorą za rewizora jakiegoś przygodnego podróżnika i obchodzą się z nim jak z ważną osobą. Podróżnik chętnie korzysta z sytuacji i w rezultacie wypróbowani oszuści okazują się oszukani. Oto wszystko. Anegdota ta była bardzo popularna w początku XIX stulecia i posłużyła za temat niejednego wodewilu i farsy.

Na takim to błahym zdarzeniu Gogol zbudował ostrą satyrę polityczną.

Całość jej sprawia wrażenie groteski — do takiego stopnia doprowadzony jest komizm akcji i charakterów. Jeżeli jednak rozdzielimy tę całość na fragmenty, przekonamy się, że nie tylko każda osoba i sytuacja, lecz nawet najdrobniejszy odruch postaci i szczegół sytuacyjny są najzupełniej naturalne i realistyczne. Ale mistrzowskie połączenie i zestawienie tych ludzi i zdarzeń potęguje ich wymowę i nadaje im stopień typów i symbolów.

Wskutek tego zabawne qui pro quo, które zdarzyło się w jakiejś zapadłej dziurze, odsłania biurokratyczny mechanizm w całej ówczesnej Rosji, a obraz prowincjonalnego światka urasta do olbrzymiego portretu, który utrwala obskurne rysy mikołajowskiego reżymu.

O tym, jak wierna i trafna była ta satyra, świadczy reakcja publiczności. Opinia i krytyka natychmiast podzieliła się na dwa obozy: gorących wielbicieli i niemniej gorących wrogów nowej komedii.

Wszystko, co było postępowe w ówczesnej Rosji, szczególnie wśród młodzieży, powitało sztukę z entuzjazmem. „Rewizor" ukazał moralny rozkład przedstawicieli władzy, wegetację ziemiaństwa pozbawionego wszelkich wyższych zainteresowań, codzienne niesprawiedliwości, ucisk i samowolę możnych, bezbronność uciskanych. Ukazując te ropnie na ciele narodu, Gogol chłostał sprawców najpotężniejszym biczem — biczem satyry. Zabijał, ośmieszając. Prototypy horodniczych, Chlestakowych, Bobczyńskich, Ziemlanik poznawali siebie i czuli się jak złodziejaszki, których publicznie złapano za rękę. Kiedy w piątym akcie horodniczy zwracał się do widowni: „Z kogo się śmiejecie? Z samych siebie!" — publiczność chcąc nie chcąc musiała mu przyznać rację.

Nic dziwnego, że rosyjskie wstecznictwo rzuciło się na nową sztukę, atakując ją od strony politycznej, moralnej i artystycznej.

Ci sami krytycy, którzy uznawali talent autora „Wieczorów", wnet przestali widzieć go w autorze „Rewizora". Odmawiali sztuce miana komedii, nazywali ją głupią farsą, kłamliwą i niesmaczną karykaturą, zarzucali jej wulgarność języka i amoralność. „Dlaczego autor nie pokazał ani jednej dodatniej postaci? Przecież to jest fałszowanie rzeczywistości, w życiu tak nie bywa!" — wołali jak jeden mąż oskarżyciele Gogola.

Na to odpowiedział Bieliński: „Dziwię się, że nikt nie zauważył tej szlachetnej postaci, której wszyscy domagają się od autora. Postać ta jest w sztuce obecna. To śmiech, który oczyszcza naszą duszę".

Później Gogol napisał scenki pod tytułem „W foyer po premierze nowej komedii", gdzie w formie dyskusji wśród publiczności przytoczył negatywne i pozytywne wypowiedzi o „Rewizorze". Tam znajdujemy jego własną odpowiedź na zasadnicze zarzuty.

Na przykład na pytanie — po co wystawiać na widok publiczny same występki zamiast pokazywać przykłady godne naśladowania, odpowiada: „A po cóż pewien ojciec, chcąc wyciągnąć syna z rozpusty, zamiast tracić czas na sentencje, przyprowadził go do szpitala i pokazał mu w całej okropności straszne skutki rozpusty?"

Wyrażano także obawę, że publiczne szydzenie z władz „zdemoralizuje" prosty lud. Gogol wykpiwa te obawy:

„Ci ludzie wyobrażają sobie, że lud dopiero tu, w teatrze, zobaczy swoje władze; że jeżeli na wsi jakiś oszust-starosta przyciśnie go, on tego wcale nie zauważy, a zauważy dopiero kiedy pójdzie do teatru. Naprawdę sądzą oni, że lud nasz jest głupi jak kloc..."

Atakowano sztukę nie tylko od strony ideologicznej; protest wywoływało również jej nowatorstwo artystyczne. Istotnie, scena rosyjska nie widziała jeszcze podobnej komedii. Obalała wszystkie tradycje i kanony znanych dotychczas gatunków literackich: nie miała konwenansu komedii pseudoklasycznej ani lekkości wodewilu ani chociażby pieprzyka dobrej farsy.

Nawet doskonała komedia Gribojedowa „Biada rozumowi", wystawiona o siedem lat wcześniej, przy buntowniczej śmiałości swojej treści, uszanowała tradycje: zachowała jedność czasu, miejsca i akcji, fabułę oparła na intrydze miłosnej, a obok typów parodyjnych ukazała szlachetnego bohatera, który w namiętnych monologach wypowiada moralne i polityczne maksymy autora.

Gogol zrezygnował z tych atrybutów. „Rewizor" raził konserwatywny smak „podłym gatunkiem" intrygi i mowy scenicznej. Na scenę wtargnęła „wulgarna" rzeczywistość, nie tylko nie przyozdobiona wymysłem poetyckim, lecz specjalnie ukazana w najbrzydszym swoim przekroju.

Jakżeż się jednak stało, że tak złośliwa satyra na carat ujrzała świat przy mikołajowskim policyjnym reżymie? Kosztowało to wiele trudów i chytrych zabiegów ze strony Gogola i jego wpływowych przyjaciół. Cenzura stanowczo zabroniła wystawienia sztuki i tylko za protekcją Żukowskiego i księcia Wiaziemskiego udało się uzyskać łaskawe pozwolenie od... samego monarchy.

Mikołaj I, tępy despota i dusiciel wszelkiej myśli niezależnej, był bardzo wrażliwy na zręczne pochlebstwo. Lubił od czasu do czasu wystąpić w roli znawcy prawdziwego artyzmu i chełpił się wyrafinowanym smakiem. W tym wypadku zapewniono go, że satyra godzi nie w jego osobę, tylko w złych wykonawców jego monarszej woli.

Tejże wersji trzymał się Gogol w komentarzach do „Rewizora". Łatwo jednak dojrzeć w tym manewr strategiczny. Niepodobna uwierzyć, ażeby twórca genialnej satyry nie pojmował jej sensu. Słusznie pisał Łunaczarski w „Sylwetkach literackich":

„Czyżby Gogol, z jego olbrzymią inteligencją, nie rozumiał, że nad wszystkimi jego Skwoźnik-Dmuchanowskimi, Tiapkin-Lapkinami, prokuratorami wznosi się super-urzędnik, super-prokurator, sam car? Że wszystkie te pokraczne gęby drobnourzędniczej Rosji, która gniotła w chciwych łapach los narodu, są tylko cząstkami niesamowitej całości — carsko-urzędniczego samowładztwa? Rzecz jasna, że on to doskonale rozumiał, ale rozumiał również to, że nie wolno skierować oczu zbyt wysoko".

Burza dyskusji wokół „Rewizora" nadwerężyła system nerwowy Gogola, już mocno nadszarpnięty przez długomiesięczną walkę z cenzurą. Ogarnęło go zniechęcenie do Petersburga, ciągnęło go gdzieś daleko, w krainę piękna, jak wyobrażał sobie Włochy.

Wkrótce po premierze „Rewizora" wyjechał za granicę: przez Niemcy i Szwajcarię do Paryża, a potem do Rzymu. Wiózł z sobą rozpoczętą pracę inspirowaną przez Puszkina: „Martwe dusze".

**Natalia Modzelewska**

*(Dokończenie w następnym numerze)*

MIHAIL EMINESCU

## CESARZ I PROLETARIUSZ
(fragment)

**Paryż płonie! — Burza się w nim przewala i gorze!**
**zamki jak czarne pochodnie — ognia żywego łup —**
**dymy jak wybuch wulkanu, łuny jak sadzą zasnute zorze —**
**płyną ryki i szczęki jak rzeka w rozgrzane morze —**
**Stulecia umarły! — Paryż stuleci grób!**

**Bruk ulic krwią pożogi nieustannie broczy,**
**barykady wysokie sypie ludzki rój —**
**z pieśnią rewolucyjną kroczy lud roboczy,**
**kwitną frygyjskie czapki, błyszczą stalą oczy —**
**dzwony ochrypłe huczą: na alarm! na bój!**

**Biały, zimny, aż martwy — jak głuche marmury —**
**lasem czarwonych ogni idzie niewiast krąg —**
**z bronią w ręku, miast włosów rozwiane wichury**
**na głowach, piersiach, plecach — a w oczach ponury**
**krzyk grozy, nienawiści, rozpaczy i mąk.**

**O walce, wy okryte wężami warkoczy,**
**każde dziecko zdeptane zbliża jutra dni —**
**niech się czerwony sztandar nad wami roztoczy,**
**niech was rozgrzeszy jutra głos proroczy —**
**ci, co was sprzedawali, winni — lecz nie wy!**

Przekład **EMILA ZEGADŁOWICZA**

CZESŁAW MIŁOSZ

# Poeta-pieśniarz

Poeta, któremu poświęcam ten artykuł (przypada mi tytuł odkrywcy, bo w Polsce o tym poecie nie słyszeli) — nazywa się Franciszek Andruszkiewicz. Ma siedemdziesiąt lat, mieszka w Stanach Zjednoczonych, w stanie Massachusetts. Przyjechał do Ameryki ze swojej rodzinnej Suwalszczyzny w r. 1905. Nie umiał wtedy czytać ni pisać. Nauczył się czytać i pisać po polsku dopiero w Stanach Zjednoczonych, cały swój czas wolny od pracy w kopalni i fabryce oddając samokształceniu.

Zanim przejdę do jego wierszy, muszę mówić o Polonii amerykańskiej w ogóle, bo wiadomości o niej są u nas rzadko podawane. Jest to temat bardzo rozległy, więc ograniczę się do przypomnienia kilku podstawowych faktów.

*

Jak liczna jest Polonia amerykańska? Organizacje, roszczące pretensje do występowania w jej imieniu, powołują się zwykle na „sześć milionów Amerykanów polskiego pochodzenia". Cyfra ta, zważywszy na dużą rozrodczość polskich rodzin imigranckich, nie jest nieprawdopodobna. Nie da się jej jednak sprawdzić. Ani kraj z którego przybyli rodzice jakiegoś Amerykanina (przed I wojną u Polaków była to albo Rosja albo Niemcy albo Austria) ani nazwisko (w wielu wypadkach zmieniane na nazwisko o czysto anglosaskim brzmieniu) ani język — nie dostarczają pewnych podstaw do obrachunku.

Do drugiej połowy dziewiętnastego wieku Polacy przybywający do Ameryki byli nieliczni. Na sam początek kolonizacji północnej części kontynentu przypada przybycie do Nowej Anglii uchodźców religijnych — Braci Polskich, po których pozostały ślady (Kościół Unitariański, ta „arystokracja umysłowa protestantyzmu", wywodzi siebie z Polski). Po ścięciu Samuela Zborowskiego rodzina jego oparła się aż w Ameryce — podpis Wojciecha Zborowskiego figuruje na kontrakcie kupna ziemi od Indian w New Jersey w r. 1679. Polacy byli wśród pierwszych białych ludzi, jacy dotarli do Kentucky (Sadowscy). Polak założył miasto Buffalo (Stadnicki). Później była szczupła ilościowo emigracja polityczna — Kościuszko, Puławski, resztki oddziałów polskich z San Domingo, które, zwykłą polską koleją losu, zaraz po wylądowaniu zostały użyte do walk z Indianami (garstka pozostałych przy życiu wróciła do Europy). Lata 1831, 1848, 1863 wyrzucały po kilkuset rozbitków powstań. Nie znajdowali raju na nowej ziemi (los np. żołnierza z 1831 roku, Putramenta, który za osiemnaście godzin pracy w fabryce czapek w Bostonie dostawał tylko utrzymanie, daje o tym pewne pojęcie). Nielicznym tylko udało się wypłynąć (np. Wierzbicki, który ukończył medycynę w Ameryce i jest znany jako autor pierwszej książki drukowanej w Kalifornii).

Prawdziwa jednak emigracja polska do Ameryki była emigracją zarobkową. Początek jej przypada na okolice r. 1850, a największe nasilenie na lata 1899 — 1914. „Wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki" Szawleskiego podaje liczbę dwóch milionów Polaków z trzech zaborów, którzy wylądowali na ziemi amerykańskiej. Cyfra ta jest oparta na statystykach urzędu imigracyjnego.

*

Polska była jednym z największych eksporterów siły roboczej, z powodu nędzy mas wiejskich. Większość emigrantów stanowili bezrolni i małorolni, przeważnie niepiśmienni albo mało piśmienni. Łącznie z chłopami włoskimi, słowackimi, serbskimi i słoweńskimi dostarczali oni najtańszego robotnika przemysłowi amerykańskiemu. Pozbawieni jakiejkolwiek opieki i organizacji, bez znajomości języka, wyrwani z pierwotnych warunków wsi polskiej i rzuceni w obcą im cywilizację zdobywczego kapitalizmu, byli oceniami tylko według siły ich mięśni i uzdolnienia do pracy fizycznej. Stosunkowo najlepiej wiodło się ludziom z Wielkopolski — ci mieli pewien zasób wykształcenia i, co najważniejsze, mogli się porozumieć po niemiecku (a majster w fabryce bywał najczęściej Niemcem).

Imigranci polscy byli więc na ogół wyjątkowo źle przygotowani do nowego startu i tą miarą należy mierzyć ich obecną pozycję w społeczeństwie amerykańskim, nie dającą się porównać z pozycją Niemców, Skandynawów czy Irlandczyków. „Polak" jest w Ameryce dotychczas synonimem niewykwalifikowanego robotnika fizycznego. Szczególny rasizm, jaki występuje w traktowaniu ludzi słowiańskiego pochodzenia, jest po prostu wynikiem przyzwyczajeń klasowych — tak, jak przy większym jego nasileniu w stosunku do Murzynów nie chodzi przecie o nic innego, niż o to, żeby Murzyn „znał swoje miejsce", tj. miejsce człowieka używanego do czarnej roboty.

Podział według sposobów zarobkowania:

KOPALNIA i FABRYKA. To było źródło utrzymania znakomitej większości polskich emigrantów i jest, w połączeniu z pracą w handlu, transporcie, usługach, dotychczas.

ROLA. Na farmach osiadali przeważnie chłopi z Wielkopolski, w każdym razie zaradniejsi z przybyszów. Skupiska polskich farm, np. w Connecticut czy Massachusetts, mają wygląd kwitnący a Polacy uważani są za dobrych gospodarzy. Farma jest marzeniem tych, co pracują w miastach, i pociąg do roli to coś, co niełatwo w Polakach zanika.

WŁASNE PRZEDSIĘBIORSTWA PRZEMYSŁOWE I HANDLOWE. Oczywiście usamodzielnienie się jest celem każdego człowieka w Ameryce, ale nie jest to już łatwe. Restauracja, nieduży sklepik, drobna wytwórnia zdają się być najwyższym „awansem", do jakiego doszli Amerykanie polskiego pochodzenia. Nieliczne wyjątki potwierdzają regułę, w każdym razie nie może być mowy o tak dużych i dysponujących takim kapitałem przedsiębiorstwach, jakie mają nawet Włosi, na ogół nisko notowani.

Większość przedsiębiorstw grupuje się w okolicach czy dzielnicach gęsto zamieszkałych przez Amerykanów polskiego pochodzenia (tak we Francji wyrastały w polskich dzielnicach sklepy i „kafejki"). Warto zauważyć nawiasem, że sklepy, którym lepiej się powodzi, utrzymują często celowo pozory lichoty i ubóstwa, bo klientela polska skłonna jest bojkotować rodaków wybijających się za nadto. Jaki mechanizm tutaj działa, nie wiem, najprostszym wytłumaczeniem byłaby obyczajowość wiejska (nieufność do miejscowego bogacza i sklepikarza).

WOLNE ZAWODY. Bardzo nieduża liczba polskich dzieci zdobyła w Ameryce wyższe wykształcenie. Rodziny pracowały ciężko i dzieci, zaledwie podrosły, musiały imać się zarobkowania. Poza tym środowisko, z którego pochodzili emigranci, traktowało naukę jako „zajęcie panów". Przybywali do kraju, gdzie wykształcenie nie było bynajmniej otoczone szacunkiem i nie dawało przywilejów — przywilej dawał pieniądz, obojętnie jak zdobyty. To ma zastosowanie zwłaszcza do polskich nowych Amerykanów, bo polskie nazwiska plus wyznanie rzymsko-katolickie stwarzało i stwarza bariery w dostaniu się na niektóre lepsze uczelnie, a po ukończeniu uniwersytetu skazuje często na powrót do „getta polskiego". O takich zawodach, jak adwokaci, zawodowi politycy i dziennikarze, można powiedzieć, że żyją oni z Polonii i że ich pierwotypem byłby pokątny doradca małomiasteczkowy, kręcący się po rynku w dni jarmarków. Spełniają oni rolę jakby łączników między skupiskami Polonii i „rdzennymi Amerykanami", zasiadając w zarządach towarzystw, urabiając głosy wyborców, wysyłając petycje, przemawiając „w imieniu" itd. W interesach tej grupy, związanej z ekonomiczną górą emigranckiej społeczności tj. właścicielami większych przedsiębiorstw, leży sprawowanie „rządu dusz" i tutaj trzeba szukać źródła nastrojów politycznych.

Udział Amerykanów polskiego pochodzenia w ogólno-amerykańskim życiu umysłowym był dotychczas bardzo szczupły. Emigracja skandynawska, niemiecka, irlandzka wydały np. wybitnych pisarzy, nieraz piszących w rodzimym języku (Ole Rölvaag, Martha Ostensö). Nie da się tego powiedzieć o emigracji polskiej. Życie skupisk polskich w Ameryce jest niezmiernie ciekawym tematem dla pisarza. Po ten temat sięga wielu autorów, ale nie polskiego pochodzenia. Polacy jako zagadnienie pół-Amerykanów występują w licznych powieściach o ostatniej wojnie (można z nich niemal wnioskować, że co trzeci żołnierz amerykański był Polakiem, co nie jest tak znowu dalekie od prawdy; gdzie jest do wykonania praca fizyczna, tam procent Polaków jest szczególnie duży — a wojna jest pracą niewdzięczną). O życiu polskiego lumpenproletariatu w Chicago pisze znany powieściopisarz - naturalista Nelson Algren, autor powieści „Never come morning" i „The man with the golden arm" (lektura przygnębiająca, godna polecenia chyba tylko dla tych, którzy na poczesnym miejscu stawiają Zapolską, „Dzieje grzechu" i Kuprina). W powieści Faulknera „The wild palms" (jako całość wyjątkowo słabej i przykrej moralnie) jest naprawdę przejmujący rozdział o polskich górnikach — kopalnia w górach, w bardzo zimnym klimacie; właściciele starają się utrzymać na giełdzie pozory, że kopalnia jest czynna, ale nic nie płacą górnikom, zwodząc ich obietnicami wypłaty; Włosi robią straszliwą awanturę i odchodzą w dolinę, potem odchodzą Chińczycy; Polacy zostają, pracują jak wściekli w dzień i w nocy, wierząc, że wyrabiają nadnormę i że w dniu wypłaty będą bogaci. Życie polskich farmerów w Connecticut opisała Edna Ferber w popularnej powieści „American Beauty". Polacy często występują w chicagowskich wierszach Carla Sandburga.

*

Jakie jest życie umysłowe Polonii? Biorąc pod uwagę brak wykształcenia, jakim byli obciążeni emigranci, oraz brak podniet kulturalnych, nie można zbyt wiele oczekiwać. Gdybyśmy wzięli życie umysłowe przedwojennego miasta w Polsce wielkości Kielc (odrzucając „import" z większych ośrodków), mielibyśmy mniej więcej obraz poziomu skupisk polskich w Chicago, Detroit czy Buffalo. Gazety w języku polskim (dość liczne, utrzymujące się głównie z ogłoszeń) mówią nam o zainteresowaniach i potrzebach czytelnika. Sprawozdania z „karcianek", majówek, herbatek, w odcinku „Ogniem i mieczem" albo łatwa powieść jakiegoś współczesnego polskiego autora (często bez podania jego nazwiska i pod zmienionym tytułem) wyczerpują na ogół rubrykę kulturalną. W kinach idą nadal filmy ze Smosarską. Grupa aktorów polskich, którzy przyjechali do Ameryki w r. 1940, łudziła się, że istnieje tutaj dostateczna ilość publiczności, aby utrzymał się polski teatr. Skończyło się to niepowodzeniem i aktorzy wzięli się do bardziej popłatnych zajęć — do siekania pasztetów, sprzedawania w sklepach czy podawania w restauracjach.

Są wśród Polonii bardzo silne tęsknoty kulturalne, ale rozwijanie ich nie jest bynajmniej celem polonijnych leaderów. O tych leaderach można powiedzieć, że są to, mimo sprytu i obrotności, ludzie ciemni, a wpływ, jaki wywierają, jest tragedią polskiej emigracji. Z licznych przykładów wystarczy zacytować jeden: prowadzoną przez nich, z dużym nakładem sił i kosztów, akcję przeciw Katedrze Kultury Polskiej im. Mickiewicza, utworzonej w 150-lecie urodzin Mickiewicza na uniwersytecie Columbia w New Jorku. Mianowany przez uniwersytet Columbia profesorem tej katedry Manfred Kridl był w licznych artykułach nazywany „niebezpiecznym bolszewikiem"(?). Dotkliwym i pogrążającym działaczy polonijnych argumentem byłoby proste stwierdzenie, że nie zdobyli się oni dotychczas na poparcie podobnej katedry w Ameryce, co zważywszy że występują w imieniu „6 milionów Amerykanów polskiego pochodzenia", nie wymaga dodatkowych rozważań.

Tak więc życie polskiej emigracji jest życiem małego miasteczka i parafii. Powoduje to poważne skutki, gdy chodzi o drugie pokolenie, które za punkt ambicji stawia sobie zatarcie śladów i „czystą amerykańskość". Młodsi wstydzą się swego polskiego pochodzenia. Polska dla nich to niepiśmienni rodzice, to legenda kraju nędzy i brudu, to bezsensownie-sentymentalne zebrania narodowe (na wiecach polonijnych w Ameryce przeważa publiczność od pięćdziesiątki wzwyż), to przesądy i sąsiedzkie intrygi. Nie Modrzewski, nie Kochanowski, nie Mickiewicz — ich rodzice też o tym nic nie wiedzieli.

Pochodzenie polskie uchodzi w Ameryce za „gorsze". Dlaczego? Dlatego, że człowieka ocenia się według jego szans zrobienia pieniędzy. Jeszcze „gorsze" jest pochodzenie z południowych Włoch (ale „lepsze" jest pochodzenie z Włoch północnych). Czyli, im bardziej prymitywne warunki bytowania w kraju, z którego przybywa imigrant, i im bardziej prymitywne narodowościowe „getto", do którego trafia po wylądowaniu, tym mniejsze są jego szanse i tym niższe miejsce w drabinie społecznej.

Słowo „Polacy" wywołuje w Ameryce następujące skojarzenia: waleczni żołnierze, pracowici robotnicy, dobrzy sportowcy (celują zwłaszcza w brutalnym amerykańskim footballu, to polska specjalność), zamiłowani hodowcy gołębi, mieszkańcy najuboższych, zaraz po murzyńskich, dzielnic w miastach — a więc zawsze nie ci, którzy tutaj dysponują, ale którymi się dysponuje. Polak w filmie czy teatrze — to zwykle górnik, żołnierz, robotnica. Bywa i inaczej. Ciesząca się swego czasu wielkim powodzeniem (i przerobiona na film) sztuka o t. zw. dziewczynie upadłej „Anna Lucasta" nazywała się początkowo „Anna Lukaska", potem zmieniono i nazwisko i polskie środowisko na murzyńskie. W sztuce Tennesee Williamsa (autora granej u nas „Szklanej menażerii") Polak występuje jako człowiek — małpa, tryglodyta o dzikich instynktach.

Dla szczupłej amerykańskiej „elity kulturalnej" połączenie polskości z kulturą umysłową jest równie trudne do pojęcia, jak np. w Polsce mówienie o cygańskim astronomie czy cygańskim architekcie. Opowiadał mi pewien młody polski architekt, który przyjechał do Ameryki w czasie wojny, że znajomi Amerykanie biorą jego i jego żonę za parę wysoce arystokratycznego pochodzenia, ukrywającą to z jakichś powodów. Dziwne zjawisko różności kulturalnej i obyczajowej od znanych dotychczas Polaków trzeba przecie jakoś zaklasyfikować. „Polska arystokracja" jest tutaj najprostszym wytłumaczeniem. Pewnie dlatego była literatka polska Xenia Żytomirska, grasująca w Ameryce, podaje się za ziemiankę, której bolszewicy zabrali majątki. „Polskich hrabiów" o najdziwaczniejszych nazwiskach jest w Ameryce sporo.

Franciszek Andruszkiewicz jest samoukiem i poetą ludowym. Powiedziałbym o nim, że jest pieśniarzem, dla którego pismo (bardzo nieortograficzne) jest tylko środkiem do utrwalenia układanych z głowy wierszy, a skrzypce i piosenka są naturalnym sposobem wypowiedzi. Tak o sobie powiada:

**W moich młodych latach jak młodzień-**
**[cem byłem**
**Bardzo wiele razy ludzi ubawiłem.**
**Grywałem na skrzypcach piosenki wesoło**
**A ludzie tańczyli ochoczo wokoło.**

**Czego moim smyczkiem dociąć nie**
**[zdołałem**
**Dla większego taktu śpiewem pomagałem.**
**Ponieważ na starość już zaledwie dyszę**
**Więc niniejszą piosenkę na papierze**
**piszę.**

W innym wierszu:

**Nieszczęśliwy człowiek jest przez życia**
**[lata,**
**Do kogo pieśń polska nigdy nie dolata,**
**Nieszczęśliwy człowiek, gdzie taki się**
**[zrodzi,**
**Którego śpiew polski wcale nie obchodzi.**

*

Więc pieśniarz zamykający w pieśni to co przeżywa i co dokoła siebie widzi. Opisał też swoją podróż za ocean i swoją pracę w Ameryce („W trzydziestą rocznicę tęsknoty. Myśli polskiego chłopa, z Polski do Ameryki z roku 1905").

Żegna się z rodziną:

**Na pożegnanie me rozłączenie**
**Legnę Wam w sercach jakby kamienie,**
**Bo odtąd byłem w największej cenie**
**A dziś odchodzę jak na stracenie.**

Odjeżdża:

**A gdym pożegnał domową strzechę**
**Pod którąm wzrastał ojcu w pociechę,**
**Stało mi się smutno i bardzo nudno,**
**Że się od płaczu było wstrzymać trudno.**

Po opisach przepraw w Hamburgu, opis podróży morskiej:

**A gdy już wsiedlim na szyf na morze,**
**Znów bieda ściska jak tylko może,**
**Przez wszelkie smrody i nieczystości,**
**Smród człowieka przejął do samych kości.**

**Złe życie dawały Niemcy nieszczęsne,**
**Ryby śmierdzące potrawy mięsne,**
**I czy to masło, czy to herbata,**
**To wszystko zdrowia człowieka strata.**

Na lądzie amerykańskim:

**Idę na dypo tykiet kupuję**
**I do Newarku trynem smaruję,**
**A gdy przybyłem tam do Newarku**
**I tam mi bieda jechała po karku.**
. . . . . . . . . . . . . .

**Więc pojechałem do Pensylwanii,**
**Bo tego stanu żaden nie zgani,**
**I natrafiłem ludzi, czy wiecie?**
**Że mnie przyjęli jak swoje dziecię.**

**Dali mi wódki smacznej z ziołami,**
**Chleba białego i z rodzenkami,**
**Nazajutrz mi dali brudne odzienie**
**I kazali iść szukać roboty pod ziemię.**

Kopalnia:

**Tam na placu każdy nosi się modnie,**
**Na swojej głowie nosi pochodnie,**
**Idący w głąb ziemi ono zaświeci,**
**Gdy stanie nagle jak kula leci.**

**Czarne odzienie jak kominiarza,**
**A szufla w ręku jak u grabarza,**
**Tam się naje dymu różnego smrodu**
**Którego przedtem nie odczuł z rodu.**

**Tam jest popękany kamień w suficie**
**I zawsze straszy, że stracisz swe życie.**
**I tam ci często strach odejmie mowę,**
**A gdy ci węgiel sypnie się na głowę.**

**Tam każdy człowiek robi nie lada,**
**A każdy człowiek ma tam sąsiada,**
**Ale ten sąsiad źle zrobić nie może,**
**Bo on tam nie przekosi, ani przeorze.**

**Bo on tam nie ma sochy ni pługa,**
**Tylko tomica żelazna długa,**
**Jeszcze do tego ostre oskardy**
**Co niemi kruszą ten węgiel twardy.**

**Gdy weźmie on pik lub dryl do ręki,**
**Tem kruszy węgiel aż idą dźwięki,**
**Zawsze pracuje chociaż pomału**
**I kręci dziurę tam do wystrzału.**

**I gdy proch wtłoczy knot ogniem pali,**
**Za chwilę węgiel jako grzmot się wali,**
**Tam grzmią armaty, każdy dzień boży,**
**Niejeden człowiek i życie tam złoży.**

O kopalni Andruszkiewicz pisze nieraz. Inny wiersz:

**Ameryka to obcy świat,**
**Tułam się tu trzydzieści lat,**
**Gdy Amerykę poznałem**
**Za Polską nieraz zapłakałem.**

**Myślałem tu zrobić grosz,**
**Lecz mnie ściga smutny los,**
**Żegnał mnie w lochy ciemne,**
**W kopalnie węgla podziemne.**

**Gdy skowronki w rannej porze**
**Śpiewają, a my w lewatorze,**
**I zimnym lotem błyskawicy**
**Spuszczamy się do ciemnicy.**

**Złote słońce i promienie**
**Zakrywa brzydkie sklepienie,**
**Tylko lampki nam błyskają**
**Co wszyscy u czapek mają.**
. . . . . . . . . . . . .

**Mają tam ciężką pracę**
**Za bardzo małą płacę,**
**Bo górnika ciężką pracą**
**Kapitaliści się bogacą.**

**Pracują tam w tej ciemności**
**Przeróżne narodowości,**
**Są Rusini i Słowacy,**
**Są Litwini i nasi Polacy.**

**Niemcy, Anglicy i Włochy**
**Zaludniają ciemne lochy,**
**Żaden język tu nie nowy,**
**Słyszeć można tam różne mowy.**

**A wszyscy wspólnemi głosy**
**Skarżą się na smutne losy.**
**Gdy wspomnę na los górnika**
**Wnet mi brzydnie Ameryka.**

I ciągle wspomnienie rodzinnego kraju:

**Odchodzisz już synu ukochany**
**W świat daleki w świat nieznany**
**Krzyż ci daję na te zbroje**
**I me serce imię moje.**

**Kawał chleba łzy i szatki**
**I błogosławieństwo matki,**
**Odchodzisz dziecko a ja po tobie**
**W wiecznej będę tu żałobie**
. . . . . . . . . . . . . .

**Poszedł poszedł syn za morze,**
**Czy mu świecą szczęścia zorze,**
**Czy też stopy kłują ciernie,**
**Wie że matka kocha wiernie.**

**Matko Polsko! My Twe dzieci,**
**Łza czy radość w oku świeci,**
**Zawsze wszędzie w każdej stronie**
**Czy w niedoli, czy w koronie**

**Twoją radość lub oko łzawe**
**Widzi i pomni dziecko prawe,**
**Czy za morzem lub w świecie**
**Za Tobą tęskni wierne dziecię!**

W innym wierszu poeta podaje swój dalszy życiorys, po zakończeniu pracy w kopalni:

**Gdy na majnach pracę mą zakończyłem,**
**Do Nowej Anglii tutaj przybyłem,**
**Dostałem w środku fabryczną pracę,**
**Za bardzo lichą i małą płacę.**

**Przeszło lat dwadzieścia tu w nich**
**[robiłem,**
**Żonę i dzieci za to zdobyłem,**
**A gdy już żonę i dzieci miałem,**
**Za swe oszczędności dom zbudowałem.**

**Gdy była praca i zarobki były,**
**Wówczas i mój domek był dla mnie miły,**
**Ale gdy fabryki w pracy ustały**
**Wierzyciele za dług dom mi zabrały.**

**Gdy teraz nie mam domu ni pracy**
**Nie łamię karku sobie z rozpaczy,**
**Bo teraz nadchodzi tu chwila taka**
**Że teraz trzeba żyć za wzorem ptaka.**

**Gdy co przez cały dzień uzbieramy**
**To na kolację wspólnie zjadamy,**
**A gdy nazajutrz ze snu wstajemy**
**To znowuż za nowem życiem patrzymy.**

Oto w skrócie dzieje polskiego imigranta, łącznie z latami wielkiego kryzysu, które zniszczyły jego dorobek.

*

Andruszkiewicz układał dużo wierszy okolicznościowych z różnych okazji, żartobliwych przypowiastek, przemówień wierszem, piosenek. Ulubione jego tematy to nawoływanie do kształcenia się, do walki z zabobonami i przesądami, z łatwowiernością:

**Oświato droga, kochać cię chcemy,**
**Słońce dni życia dobroci zdroju,**
**Króluj nam my się do cię garniemy**
**Pod jasne berło twego pokoju.**

I gdzie indziej:

**Więc ludu podnieś swą głowę,**
**Nie daj się zwodzić ciemnocie,**
**Czytaj pisma postępowe,**
**Zedrzyj łeb hydrze, głupocie.**

**Wspólnie zjednoczmy swe głosy,**
**Wszak dziś słowem walczyć można,**
**Wówczas zbliżą się niebiosy,**
**Chociaż sytuacja groźna.**

W wierszu „Na chleb trzeba pracować" powiada:

**Lud naiwny w całym świecie**
**Nie dba, gdy kto bzdury plecie,**
**Gdy go krzywdzi, gdy go dusi,**
**Wierzy, że on cierpieć musi.**

Jest rzeczą znaną, że w środowisku wiejskim samodzielność umysłowa zaczyna się zwykle od ostrego antyklerykalizmu. Andruszkiewicz, samouk wiejski (mimo że większość życia spędził w przemysłowej Ameryce), celuje w atakach na kler i na Watykan. Znajduje, zdaje się, wdzięczną publiczność — naśmiewanie się z księży stanowi przecież potężny dział twórczości ludowej. W każdym razie jeden z jego wydanych drukiem tomów jest to zbiór wierszy przeważnie antyklerykalnych i antypapistowskich. To oznacza próbę wyłamywania się z kręgu małomiasteczkowego i parafialnego („Góra" Polonii jest gęsto przetykana klerem).

Z „Pieśni dziadowskiej":

**Księża nie dbają że jest bezrobocie,**
**Oni pracują zawsze w czoła pocie,**
**Ostatnie centy powyciąga klecha**
**Do swego miecha.**

**Kler gra wciąż rolę pobożnego dziada,**
**Żebrze do Boga, a sam wszystko zjada,**
**Wyciąga rękę po ludzkie dolary**
**Proboszcz, wikary.**
. . . . . . . . . . . . . .

**Ksiądz na plebanii siedzi i popija,**
**Swym samochodem wszędzie się rozbija,**
**Wie, że lud jego bardzo jeszcze głupi**
**Drugi mu kupi.**

**Mocno brykają dziś rzymskie ogierki,**
**Na malowane polują flaperki,**
**Chociaż od oka żyją w celibacie,**
**Nie śmiej się bracie.**

Ze szczególnym upodobaniem opisuje Anruszkiewicz niegodziwych mnichów, zwłaszcza przypadek Damązego Macocha, Paulina z Jasnej Góry, głośny w kronikach kryminalnych przed pierwszą wojną. Przypomnijmy to słowami poety, obdarzonymi, trzeba to przyznać, dużą siłą komiczną:

**...Pamiętamy słowa przeora swego,**
**Że trzeba kochać swego bliźniego,**
**Damazy nie miał chłopów zbyt wiele**
**Więc przy spowiedzi pokochał Helę.**

**Ludzi do ludzi coś ciągnie, zbliża,**
**A że nazwisko miała od krzyża,**
**Przecie to prawda, a nie pogłoska**
**Że nazywała się Krzyżanowska.**

**Gdy przy spowiedzi grzechy szeptała**
**Zakonnikowi się spodobała,**
**Powiedział Helci miłych słów trocha,**
**Że on ją lubi i bardzo kocha.**

Tak zaczęła się miłość, trzeba było pieniędzy, więc Damazy zaczął okradać „ofiarne szkatułki".

**Choć wszystko ukradł, gdzie się co dało,**
**Ale kobiecie było tego mało,**
**Zasięgnął rady, gdy była pora**
**Swego kolegi mnicha Izydora.**

**Izydor rzecze: tyś boskim sługą,**
**Masz prawo okraść jedną i drugą,**
**Niech będą nasze pełne szkatułki,**
**Będziemy obaj kradli do spółki.**

**W klasztorze było spokojnie cicho,**
**Pewnego razu nadało licho**
**Gdy się obydwaj łupem dzielili,**
**Spostrzegł to trzeci ojciec Bazyli.**

**O! heretycy, wy łotry, zbójcy,**
**Czy nie wierzycie w istnienie Trójcy?**
**Wszakże widzicie, że ja tu stoję,**
**Dzielmy się łupem teraz we troje.**

Wreszcie Macoch przypuścił do tajemnicy swego bratanka i przy jego pomocy sprzedawał kosztowności. Wydał nawet Helcię za mąż za bratanka, ale doszło do nieporozumień finansowych i Macoch zabił bratanka siekierą.

**Obmacał trupa, ten się nie rusza,**
**Rozciął mu głowę, uciekła dusza,**
**Wówczas on trupa złapał w swe łapy,**
**Siłą wpakował go do kanapy.**

Warto również zacytować fragment wiersza „Rozmyślania samouka":

**Ja, jako chłop polski ducha już wolnego,**
**Cenię cnoty króla Bolesława Śmiałego,**
**Jak długo krew polska w moich żyłach**
**[płynie,**
**Tak długo ma pamięć o nim nie zaginie.**

**Jako człowiek światły rozsądku prawego,**
**Zabił on biskupa zdrajcę Szczepańskiego,**
**Nie znosił obłudy rzymskiego zwyczaju,**
**Wskutek intryg kleru musiał uciec**
**[z kraju.**

G. POLITZER

WYKŁAD FILOZOFII

Wyd. II

PIW

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

**Cenić będę pamięć króla Bolesława,
Był on budowniczym postępu i prawa,
Król ten żył w prostocie, był serca czy-
[stego,
Był więc solą w oku u kleru rzymskiego.**

. . . . . . . . . . . . . . . .

**Zawołajmy wszyscy: Polsko ty kochana,
Przestań być dla Rzymu w postaci
[barana,
Nie wierz w słodkie słówka tym nad
[rzymską miedzą,
Bo cię rzymskie wilki wyniszczą i zjedzą.**

Do czasów ostatniej wojny odnosi się wiersz „Papież błogosławi tyrana", który kończy się następującą zwrotką:

**Synowie Polski narzekają, jęczą,
Bo Niemcy naród mordują i męczą.
Kler rzymski, który postępowców chło-
[stał,
Nie dba o rozbiór — byle kościół został.
A kiedy tyran w krwi polskiej się pławi.
Papież tyrana jeszcze błogosławi.**

Pisząc o Polonii amerykańskiej i Andruszkiewiczu jestem bardziej wzruszony, niż możnaby to wywnioskować z mego rzeczowego przedstawienia. I nie sądzę, aby jakikolwiek Polak mógł przejść obok tych spraw obojętnie. Jakąż przestrzeń musiał przebyć ten człowiek od analfabetyzmu do przemawiania językiem Kochanowskiego i Orzechowskiego! Nikt mu nie podał ręki. Leaderzy polonijni śmieją się z takich zapędów samokształceniowych, niegodni rozwiązać rzemieni u obuwia podobnego jak Andruszkiewicz samouka. Są półinteligentami, niezmiernie im imponują „prawdziwi" Amerykanie, choć w sercu swoim dobrze wiedzą, że „góra" amerykańska — czy to finansowa czy polityczna czy kulturalna — traktuje ich z lekceważeniem, co zwiększa ich ból. Jedynym sposobem nadrobienia miną jest ważność wobec masy polonijnej i usilna praca nad utrzymaniem jej w stanie bierności i bezwładu.

Poezja Andruszkiewicza dźwięczy dla mnie chwilami po staropolsku. Tak rzeźba czy malarstwo ludowe układa się nieraz w kształty naszego Renesansu czy Baroku. Jest coś przejmującego w powtarzalności pewnych rytmów głęboko tkwiących w duchu języka i podejmowanych przez tych, dla których miejsca w ojczyźnie nie było.

Czyż nie będę miał racji, kiedy na poparcie zacytuję taką zwrotkę:

**Schnąć jak trawy nie skoszone,
Życie wiodłyśmy pokutne,
Panieństwo nie naruszone,
Wciąż wzdychały panny smutne.**

Albo poemat okolicznościowy „Ku św. pamięci i rocznicy śmierci Piotra Cackowskiego": Oto fragmenty.
Otwarcie poematu:

**W Northampton mieście przy Hawley
[strycie,
Tam polska familia prowadziła życie,
Czynem popierała swego życia troski,
On się nazywał pan Piotr Cackowski.**

Następują treny żony, która najpierw zwraca się do zmarłego męża:

**Mężu mój drogi, pocóż to uczyniłeś?
Że mnie samotną w smutku zostawiłeś?
W którą stronę spojrzę i gdzie się
[obrócę?
Na myśl o tobie płaczę i bardzo się
[smucę.**

Następnie do syna (w tomiku fotografia marynarza w mundurze. Jest rok 1944 — synowie są na wojnie):

**Mieczysławie, synu mój pierworodny,
Dziś tu w poranek, bardzo smutny
[i chłodny,
Synu mój miły mój śliczny kwiecie,
Ach! może tobie jest źle w świecie?**

Do drugiego syna (też marynarz, na wojnie):

**Synu mój Władysławie, mój ty chłopcze
[miły,
W nocy dziecinne twe dni mi się śniły,
Czułam na mej szyi dziecięce rączki
[twoje,
Wówczas mówiłeś, mama ja się boje.**

Do trzeciego syna (żołnierz, na wojnie):

**Synu, mój Olesiu, synu jasnowłosy,
Na nieznane krańce wiodą ciebie losy.
Często przed twą fotografią bezradna
[stoję,
Bo nie wiem dokąd życzenia słać moje.**

Pokolenie Andruszkiewicza i pana Cackowskiego wymrze, a pokolenie Mieczysławów, Władysławów i Olesiów roztopi się w amerykańskim tyglu. To są przykre obrachunki. Myślę, że cyfra sześciu milionów Amerykanów polskiego pochodzenia odpowiada prawdzie, jakkolwiek znaczną a raczej przeważającą jej część stanowią ludzie, którzy po polsku już nie umieją i nie poczuwają się do łączności ze „starym krajem". Cyfra ta równa się jednej czwartej obecnego zaludnienia Polski.

O dziejach polskiej emigracji zarobkowej w Ameryce będzie się jeszcze, wierzę w to, wiele pisać i w Polsce, i w Stanach Zjednoczonych. Dla kogoś znającego Amerykę jest jasne, że łączy się to ze zwycięstwem sił postępowych w Ameryce, bo tylko zniesienie segregacji „pochodzeniowej" uleczy Polaków amerykańskich z kompleksu niższości i wyrobi w nich dumę z tradycji. Zważmy, że kto chce dzisiaj znaleźć niezakłamany obraz historii Murzynów w Ameryce, musi sięgnąć do prac historyków marksistowskich. To samo będzie dotyczyło innych grup ludnościowych, których rola w rozwoju Ameryki jest obecnie misternie pomniejszana.

Andruszkiewicz, po przeczytaniu książki „Stare i nowe" Lucjana Rudnickiego, zabrał się do pisania pamiętników. Jest zdrów i żwawy. Życzę mu najpiękniej powodzenia.

**Czesław Miłosz**

**BOHDAN WĘSIERSKI**

# PROLETARIUSZ I ZIEMIA

*„Piędź ziemi" („Talpalatnyi föld"), film wg. powieści Szabo Pala. Reżyseria: Ban Frigyes, scenariusz: kolektyw dramatyczny filmu węgierskiego, zdjęcia: Makkay Arpad, muzyka: Verse Sandor.*

*W rolach głównych: Adam Szittes — Jozka Goz, Agi Meszaros — Marika.*

Dużo jest ziemi w tym filmie. Ziemi rodzącej bogaty plon. Ziemi, w którą wsiąka pot. I dużo jest pracy w tym filmie — ciężkiej. codziennej pracy. Pracy i ziemi jest w nim tyle, ile miejsca zajmują one w życiu biednego chłopa.

Film ten, narodowy w formie, obrazuje sytuację chłopstwa węgierskiego w okresie obszarniczych i kapitalistycznych rządów międzywojennego dwudziestolecia; jest to obraz chłopskiej walki o byt na małym skrawku ziemi, walki z kułakami i obszarnikami, z całym państwowym aparatem ucisku. Walki beznadziejnej, bo prowadzonej przez chłopa indywidualnie, bez pełnego zrozumienia klasowego jej sensu i charakteru. Tak np. próba przerwania tamy przez zrozpaczonych, stojących przed widmem głodu chłopów z tego filmu, to — w odróżnieniu od jakiegokolwiek strajku robotniczego, który jest walką zorganizowanej klasy — zaledwie instynktowny odruch, rozpaczliwy cios we właściwą wprawdzie stronę, lecz cios podyktowany tylko koniecznością samoobrony.

Prostota i prawda tego filmu sprawiły, iż zdobył on pierwszą Nagrodę Pracy na ostatnim Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Mariańskich Łaźniach, stając tym samym w rzędzie najlepszych filmów postępowych produkcji 1949 r. w kinematografii świata.

Jozka Goz, młody chłop węgierski odbiera kułakowi w dzień wesela ukochaną dziewczynę, którą rodzice musieli sprzedać bogaczowi wiejskiemu za długi. Jozka nie rozumie jeszcze wtedy, że łamie w ten sposób jedno z żelaznych praw kapitalistycznej machiny. Ten śmiały czyn wtrąca go w wir walki klasowej na wsi. W filmie służy on do dalszego ukazania miażdżącej machiny przemocy w całym jej nasileniu.

Obrażony kułak ma za sobą prawo, sekwestratorów i policję. Władzą swych pieniędzy dosięga najpierw starych rodziców dziewczyny. Odbiera im zagrodę za długi i kupuje dla siebie za trzecią część wartości.

Jozka musi zapłacić za ucztę weselną kułaka, bo tylko wtedy może uzyskać rozwód i dać nazwisko swemu przyszłemu dziecku. Ale dwie morgi jego ziemi, niedostatecznie nawodnionej, nie wystarczają nawet na utrzymanie rodziny.

Jozka postanawia w inny sposób zdobyć pieniądze. Chce wynająć się do pracy. Rodzice dziewczyny, matka Jozka i on sam będą jedli nieokraszone kartofle, pożywną strawę dostanie tylko Marika, bo Marika jest w ciąży. Nabiał, masła, mleko idą na targ. Wszystko to nie wystarcza. Wreszcie przy pomocy wiernego przyjaciela Jozka dostaje pracę „na akord" przy kopaniu wielkich stawów rybnych dla obszarnika.

Cała dłuższa część filmu poświęcona kopaniu stawów, to wstrząsający obraz wyzysku biedoty wiejskiej przez właścicieli ziemskich. Jozka zostaje bezprawnie wyrzucony z pracy przez ekonoma. Jego towarzysze — chłopi, z którymi pracował, nie potrafili go obronić. Z tego krótkiego okresu zostało mu jedno spostrzeżenie: Chłopi nie potrafią jeszcze bronić się skutecznie przed wyzyskiem, gdyż nie stanowią zorganizowanej klasy.

Młody chłop postanawia gospodarować na własnej ziemi i w ten sposób spłacić dług kułakowi. Wtedy przekonuje się, że ostatecznym celem bogacza wiejskiego nie jest wcale odzyskanie wydanych pieniędzy, lecz upokorzenie i zniszczenie biednego chłopa. Kiedy Goz nawodnił swój kawałek ziemi i stworzył warunki dla zebrania bogatego plonu warzyw, kułak nasłał nań płatnego zbója. aby zniszczyć mu studnię, a z nią możliwości spłacenia długu i wydobycia się z nędzy.

Jozka Goz jest w filmie uosobieniem niespożytych sił ludu wiejskiego. Nieugięta wiara we własne siły, niczym nie dająca się złamać pewność, że praca i sprawiedliwość musi odnieść zwycięstwo. cechują tego młodego chłopa, który złe ciosy spadające nań znienacka znosi z łagodnym cieniem uśmiechu w swych spokojnych oczach. Miękki wyraz twarzy, skupiona, opanowana i swobodna gra — to zasadnicze walory kreacji aktorskiej Adama Szittesa.

Osobiste życie tych dwojga biedaków wiejskich i ich najbliższej rodziny to drugi motyw filmu, odciążający tragiczny obraz „pańskich rządów" na wsi. Miłość Jozka i Mariki jest szlachetna i pełna prostoty.

Film przedstawia codzienne życie tych dwojga w sposób prawdziwy, bezpośredni i szczery. Ich miłość, praca i walka dają im prawo do szacunku.

Eisensteinowska kompozycja klatki filmowej, szczególnie w scenach pracy przy studni i kopaniu stawów, przypomina najlepsze wzory socjalistycznego realizmu filmów radzieckich. Nie znaczy to jednak wcale, aby realizatorzy „Piędzi ziemi" przyswoili sobie mechanicznie istniejące osiągnięcia realistycznej sztuki flmowej. W oparciu o te osiągnięcia, wykorzystując dotychczasowe zdobycze stworzyli obraz będący nowym, twórczym dziełem realistycznego stylu filmowego.

Na początku filmu Jozka jest tylko młodym chłopem, który odbiera kułakowi ukochaną dziewczynę. Pod koniec filmu Jozka „zasługuje" już na 15 lat więzienia. Obudziła się w nim świadomość jego przynależności klasowej — do więzienia idzie jako uświadomiony proletariusz i dlatego kamera filmowa przedstawia go w tym momencie jako triumfatora a nie jak pokonanego. W walce z uciskiem i przemocą Jozka Goz zrozumiał, że drobny chłop wygra swoją sprawę tylko wtedy, kiedy walkę o swoje prawa będzie prowadził wspólnie ze wszystkimi pracującymi, w sojuszu z klasą robotniczą.

Doskonale pomyślany scenariusz od początku wprowadza w centralne zagadnienie. W pierwszej scenie obrazu oglądamy, z wysokości kilku metrów, panoramę uczty weselnej kułaka, co jest bardzo dobrym sposobem dla ukazania przekroju społecznego wsi. Dzięki temu w pierwszej odrazu scenie poznajemy też prawie wszystkie główne postaci filmu.

Twórcza praca operatora sprawiła również, że ziemia w tym filmie jest twórczym elementem obrazu, a nie tłem dla rozgrywających się wypadków. Operator miał trudne zadanie zdynamizowania płaskiego krajobrazu. Fotografia „Piędzi ziemi" jest wielkim osiągnięciem artystycznym. Jeśli prasa zagraniczna w okresie festiwalu w Czechosłowacji, gdzie film ten zdobył nagrodę nazwała go „kantatą o ziemi", to jest to w głównej mierze zasługą artystycznej inwencji operatora.

**Adam Szittes jako Jozka Goz**

**Agi Meszaros — Marika**

Muzyka Verse Sandora jest wtopiona w film, towarzyszy akcji, często ją wyprzedza przygotowując nastrój, lecz nigdy nie wysuwa się na plan pierwszy. Nie absorbuje, podkreśla tylko pewne momenty i stara się jeszcze bardziej zwrócić uwagę widza na sam obraz. Muzyka ta jest przykładem właściwego zrozumienia zadań kompozytora w filmie realistycznym.

**Bohdan Węsierski**

**Scena pracy przy studni. („Piędź ziemi")**

**Chłopi przerywają tamę obszarnika („Piędź ziemi")**

**Jozka Goz idzie do więzienia („Piędź ziemi")**

**WŁODZIMIERZ A. MARTIN**

# Szwejk po latach

Ukazało się ponowne wydanie popularnej opowieści Jarosława Haszka „Przygody dobrego wojaka Szwejka" *). W okresie dwudziestolecia ten groteskowy rodzaj ujęcia życia wojennego był nowy i dosyć niespodziewany. Spodobał się on tak dalece, że prawem popularności świetnych postaci powieściowych nazwisko Szwejka stało się imieniem własnym, przy czym automatycznie przenoszono zewnętrzne cechy Szwejka ponad istotną treść jego postaci. Zewnętrzny wygląd zabawnie prezentującego się w mundurze, niedźwiadkowatego, pozornego niedołęgi, brano za istotę rzeczy. A przecież owa okrągła, niegolona przeważnie gęba, kartofelkowaty nos, niezupełnie w środku twarzy i małe, doskonale ukryte oczki, błyskające żywą choć nie dla wszystkich widoczną inteligencją, był to tylko sztafaż, potrzebny temu pikniczemu humoryście i filutowi do tym lepszego wyprowadzenia w pole c. i k. oficerów i innych urzędowych przedstawicieli ś.p. monarchii austro-węgierskiej.

Do historii obyczajowej pierwszej wielkiej wojny przeszedł nie tylko Szwejk-oferma, ale i Szwejk-mistrz kanciarstwa, wyraziciel pasywnego stosunku do życia w ramach c.k. monarchii, bardzo charakterystycznego dla dość nieokreślonej klasowo warstwy ludności jaką postać ta reprezentuje. Warstwa ta w tym właśnie pasywnym stosunku wyrażała swój protest przeciwko wojnie, której celów nie rozumiała, nie była w stanie zrozumieć.

Robić tylko tyle, ile już konieczne trzeba, i zawsze tak, by zachowując pozory największej lojalności i łba niepotrzebnie nie nadstawić, i żeby Austrii na dobre nie wyszło— oto zasada postępowania ludzi tego typu.

Szwejk bardzo starannie zachowuje ową postawę biernego protestu z fałszywymi pozorami gorliwości. Sytuacja taka wymaga zarówno specjalnych form zewnętrznych jak i filozofii na użytek codzienny, by władza nie mogła się połapać. Szwejk wciśnięty w mundur wygląda komicznie i źle. Uchwycony w tryby dyscypliny wojskowej czyni wszystko, by tryby te ślizgały się po nim, zgrzytając, ale nie miażdżąc go. Wysłany na front, gdzie panuje prawo najlepszego przystosowania się, odzyskuje formy ludzkie bo nie odczuwa strachu, poczem triumfalnie kończy w niewoli. Prawa t.zw. honoru armii austriackiej zdają się go nie obowiązywać, po prostu go nie dotyczą. Były pisane nie dla niego, i nie dla jego ziomków. Stanowi on, według pojęć ówczesnych władców, — Kanonnenfutter, zachowuje się zaś tak, by od tej roli czym prędzej się uwolnić.

Całe życie Szwejka jest niewątpliwie jakimś protestem, ale protestem indywidualnym, mało związanym z historyczną walką, jaką naród czeski współcześnie toczy i na której mimowolnego bohatera Szwejk bywa często kreowany. Szuka on obrony, nawet skutecznie, ucieczką w absurd, w dowcip. Dziś wiemy, że głoszenie takiej postawy przez autora jest niesłuszne, że postawa taka nie wystarcza. Szwejk znajduje się, zręcznie zresztą balansując, stale na krawędzi, o krok od kryminału, przed którym ratują go, jak mówi Wiech, „wariackie papiery". Jest urzędowo stwierdzonym idiotą, co, jak prawie wszystko w jego życiu, nie jest oczywiście prawdą. Pozory wciąż bronią go przed rzeczywistością. Jego cywilnym zawodem jest handel psami. Czyżby wciąż wulgarna personifikacja cynika? Chyba tak. Tymbardziej, że jego powieściowe życie wypełnione jest tym tematem. Szwejk w wojsku ciągle ucieka od rzeczywistości w niekończące się opowiadanka. Na wszystkie prawie trudności życiowe przykłada plasterek analogii.Od sytuacji zależy tylko stopień zawartej w niej drwiny. Niezwykły instynkt życiowy pozwala mu zachować przytomność umysłu i do pewnego stopnia niezależną postawę. Ale za jaką cenę i jakim kosztem? I ilu jeszcze poza nim? Któż może się zdobyć na tak długotrwały opór tak szczególnymi metodami? Jakich niewyczerpanych zasobów cierpliwości do tego trzeba, i co najważniejsze, czy ta postawa, świadomie wybrana, jest właściwa i słuszna? My dzięki lekcji, jaką dała nam historia czasów najnowszych nie mamy już wątpliwości, ale autor wyraźnie je miał. Z pobłażliwości, z jaką odnosi się do swego bohatera wynika, że postawę jego do pewnego stopnia aprobował. Sposob potraktowania humoru Szwejka wyraźnie na to wskazuje.

Zastosowany przez autora rodzaj komizmu, prawie wyłącznie sytuacyjnego, dziś już nieco nuży. Żyjemy szybciej i w układzie społecznym innym. Różny też jest nasz stosunek do szwejkowskich problemów. I Szwejk i jego bierny protest przeciw ówczesnej rzeczywistości jest anachronizmem. I to bardziej ideologicznie niż historycznie. Rzeczywistość tak dalece się zmieniła, że nawet postać Szwejka jest już mniej zabawna, nie mówiąc o całym ukrytym jej bagażu ideowym. Szwejk jest postacią reprezentującą w jakiś sposób pewne cechy bohatera ludowej groteski, ale nie jest przedstawicielem ludu czeskiego, jako całości, jak się często uważa. Wyraża warstwę zbliżoną do lumpenproletariatu, warstwę niezdającą sobie sprawy z zadań czynnej walki, którą już w tym samym czasie toczą przedstawiciele uświadomionego ideowo proletariatu czeskiego.

W przekładzie „Szwejka" przydałyby się pewne poprawki n.p.: tambor to po prostu dobosz. Oberleutnant lepiej brzmi w oryginale niż nadporucznik. Rechnungsfeldfebel — to nie sierżant rachuby, lecz raczej sierżant prowiantowy, a może w tym wypadku sierżant-szef. Formy nadpułkownik wydaje mi się po polsku nie ma i nie było. Poza tym nie kancelaria przyjemcza, lecz chyba izba przyjęć.

**Włodzimierz A. Martin**

*) Jarosław Haszek „Przygody dobrego wojaka Szwejka", „Książka i Wiedza" 1949 — 4 tomy. Tłumaczenie P. Hulki-Laskowskiego, okładka Ignacego Witza.

EGON NAGANOWSKI

# Anna Seghers po polsku

Anna Seghers podejmuje z reguły w swych powieściach tematy szerokie, o których śmiało powiedzieć można, że zgodnie z zasadą powieściowego realizmu odzwierciedlają w indywidualnych losach powieściowych bohaterów polityczną i społeczną rzeczywistość poszczególnych okresów najnowszej, zwłaszcza niemieckiej historii. Zakrojonym na najszerszą skalę obrazem tego rodzaju w dotychczasowej twórczości autorki był „Siódmy krzyż", którego treść stanowiła odkrycie prawdy o Niemcach w III Rzeszy. W ostatniej, niedawno na język polski przełożonej powieści pt. „Umarli pozostają młodzi" *) Anna Seghers zakreśliła sobie ramy jeszcze rozleglejsze, obejmując jej treścią okres od zakończenia pierwszej do końca drugiej wojny światowej w Niemczech. Jeżeli dodamy, że autorka pokusiła się o obraz całego społeczeństwa niemieckiego, dając przekrój życia przedstawicieli różnych klas społecznych i orientacji politycznych, że wprowadziła do powieści dwadzieścia kilka postaci pierwszoplanowych i wielką ilość epizodycznych, wikłając ich losy urozmaiconą akcją — to łatwo zrozumieć, jak trudnego podjęła się zadania.

W książce swej Anna Seghers ukazuje z grubsza pięć środowisk. Reprezentują je rodziny: Klemmów, przemysłowców nadreńskich, Wenzlowów, gdzie stykamy się z kastą pruskich oficerów zawodowych, Lievenów, byłych obszarników, emigrantów z krajów bałtyckich, Nadlerów, zamożnych chłopów, wreszcie Geschków — przedstawicieli proletariatu. Dzieje wymienionych rodzin oraz kręgu ich najbliższych znajomych i przyjaciół Seghers przekonywująco uzależniła od przebiegu wydarzeń politycznych, w okresie republiki weimarskiej i III Rzeszy.

Wypadki historyczne, splatają się tu organicznie z fikcją, tworzą z nią nierozerwalną całość. Między opisaną w prologu śmiercią młodego rewolucjonisty Erwina, zamordowanego przez białogwardyjskich oficerów Klemma, Wenzlowa i Lievena, a rozstrzelaniem syna Erwina Hansa, w ostatniej fazie drugiej wojny światowej, rozgrywa się przetransponowany literacko dramat Niemiec, w którym indywidualne losy powieściowych bohaterów ukazują czytelnikowi w sposób plastyczny i przekonywający cały mechanizm rozwoju wydarzeń i losów przedstawicieli poszczególnych grup ludności w Niemczech.

Widzimy, jak zaraz po pierwszej wojnie światowej wielcy przemysłowcy, Klemm, Castricius i inni bądź to szykują się do nowej rozgrywki podsycając nacjonalizm, konspirując i zakładając pod legalnymi nazwami nielegalne, paramilitarne związki i stowarzyszenia, bądź też szukają „człowieka z bardzo chytrym programem", któryby w interesie i za pieniądze kapitalistów otumanił robotników fałszywym socjalizmem — i znajdują go potem w osobie Hitlera. Widzimy Fritza v. Wenzlowa, typowego przedstawiciela pruskiej kasty wojskowej, przechodzącego charakterystyczną ewolucję od oficera „żałosnej" Reichswehry do oficera hitlerowskiego Wehrmachtu; Wenzlow nie aprobuje wszystkich politycznych pociągnięć nazistów, chwilami czuje się nimi speszony, a jednak walczy w czasie wojny do końca za „honor i ojczyznę". Widzimy Ernesta v. Lievena, ryzykanckiego kondotiera, który walczy ochotniczo z robotnikami wewnątrz kraju, z młodą Armią Czerwoną na Łotwie, z Polakami na Górnym Śląsku a wreszcie zaciąga się do SS: Celem wszystkich jego dążeń jest „owo tak kuszące, pełne przygód życie, które wygrywa się tylko wtedy, gdy się je stawia na kartę". Widzimy Wilhelma Nadlera, zasobnego lecz źle gospodarującego chłopa, który również bił się z pasją w latach 1919—1920 z robotnikami. Żyje on myślą o nowej wojnie, o nacjonalistycznym przewrocie, o uleganiu silnej władzy i własnym udziale w niej, o uderzaniu pięścią w stół, by „zrobić porządek" z „czerwonymi hultajami" i staje się oczywiście także zapalonym SA-Mannem. Widzimy niemieckich proletariuszy, zdradzonych przez socjaldemokratycznych przywódców, częściowo pozyskanych potem przez hitlerowców za miskę soczewicy i czystą, lecz brunatną koszulę, częściowo trwających — jak ukazany bohater Geschke — w biernej opozycji wobec reżymu. Tylko nieliczni bowiem wzorem ukazanej w powieści rodziny Bergerów zdobywają się na zorganizowaną akcję antyfaszystowską.

Znajdujemy obraz młodzieży z różnych środowisk, obserwujemy, jak fascynujący wpływ wywierał hitleryzm na młode umysły i jak z drugiej strony Hans, syn Erwina i Marii a pasierb Geschkego, oraz kilku innych chłopców wychowanych w lewicowych organizacjach młodzieżowych za czasów weimarskich zapisuje się do HJ, by prowadzić tam konspiracyjną działalność. Wreszcie widzimy sylwetki wielu prostych i szarych ludzi, stojących gdzieś po środku, skłaniających się na tę lub ową stronę, ludzi „nijakich", apolitycznych lub nieuświadomionych, czujących mgliście, gdzie leży prawda, lecz nie umiejących jej ogarnąć umysłem. Czasem buntują się oni jedną myślą, jednym czynem, kiedyindziej żyją zajęci wyłącznie dużymi troskami i małymi radościami codziennego dnia. Tacy to powiadają w rozmowie z proletariuszką Marią: „Jest tak, jak jest, a więcej nic nie wiem".

Jaki jest sens tego wielkiego malowidła, którego złożoną strukturę i problematykę ledwie da się zaznaczyć w recenzji? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba zrobić krótki rachunek. Burżuazja — pokazuje to dobitnie książka — poszła z tych czy innych względów za Hitlerem, bo z tych czy innych względów już dawno do tego dojrzała. Postać Ottona Lievena — kuzyna

Anna Seghers

Ernesta, który straciwszy kurlandzki majątek osiedlił się jako prosty chłop w Prusach Wschodnich, uwierzył pseudo socjalistycznym hasłom Hitlera i popełnił samobójstwo, gdy się przekonał, że padł ofiarą kłamstwa, jest tu tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę. Jest to typowy „outsider". Podobnie nie ma znaczenia artystyczne „psioczenie" ciotki Amelii Wenzlow na hitlerowskich „parweniuszów" i „łobuzów" oraz obudzenie się sumienia Elżbiety Lieven na wiadomość o tym, co się dzieje z Żydami w obozach koncentracyjnych. Te obiekcje i odruchy uczuciowe nie wpłynęły ani na jotę na bieg wypadków i mogą być zapisane najwyżej na prywatne konto danych jednostek. Ze środowiska chłopskiego jedynie Krystian, brat Wilhelma Nadlera, wiejski szewc, jest „nieprawomyślny" i kilka razy, bo tak się złożyły okoliczności, pomaga robotnikom-antyfaszystom; nie szuka on jednak ani nie pragnie walki.

Pozostaje jedynie uświadomiony politycznie proletariat. Mimo, że pokonany, wyłania on z siebie najlepsze jednostki. To komuniści walczący podczas rewolucji w roku 1918 z oportunizmem socjaldemokracji, chwycili za broń i ogłosili strajk powszechny w czasie nacjonalistycznego puczu Kappa, to oni poszli w żałobnym pochodzie po śmierci Lenina. Komuniści rozlepiali później nocą ulotki, jak przedstawieni w powieści Oskar Berger, jak Heiner, mąż córki Geschkego, i Hans z kolegami. Heiner przypłacił to życiem. Martin, przyjaciel Erwina, prowadził również robotę konspiracyjną, przy czym wyjechał do republikańskiej Hiszpanii. Dodajmy do tego postawę i cierpienia tych, którzy ze starym komunistą Trieblem dostali się zaraz na początku, po uchwyceniu władzy przez hitlerowców do obozów koncentracyjnych i więzień.

Z chwilą wybuchu wojny Hans został żołnierzem i ku swemu własnemu przerażeniu strzelał posłusznie, tak jak wszyscy inni do sowieckiego „wroga". Z uczuciem odrazy do samego siebie czekał wraz z nielicznymi towarzyszami zagubionymi w milionowej masie armii na „odpowiednią" chwilę. Chciał „zachować siły na coś lepszego", bo wiedział, że prostą odmowę posłuszeństwa przypłaciłby natychmiast życiem. Nie doczekał się jednak „odpowiedniej chwili", bo pod sam koniec wojny, gdy zdecydował się na czyn, przyłapano go na „podejrzanych rozmowach" z kolegami i poprowadzono na rozstrzelanie — z rozkazu tego samego Wenzlowa, który ongiś zabił jego ojca. Wenzlow nawet skojarzył sobie tych dwóch, Hansa i Erwina. Wydali mu się jedną osobą. „Ale jak to się dzieje, że pozostał tak młody?... Przeszli nad nim — myśli Wenzlow — Noske i Lichtschlag, Kapp i Lüttwitz, a on pozostał tak młody! Przecież to jemu właśnie hitlerowcy obiecywali raj na ziemi, nie dał się jednak oszukać. Obrabiali go na wszystkie boki, że aż mu gnaty trzeszczały; wysłali go na wojnę, kazali mu bić się w jednej bitwie po drugiej, nie dał się jednak zastrzelić; i został młody. Nawet teraz, kiedy wszystko już było stracone, gotów był raz jeszcze wszystko postawić na jedną kartę".

Oto istotny sens i prawda powieści Anny Seghers. Tylko w uświadomionych żywiołach klasy robotniczej trwał obraz innych, lepszych Niemiec. Oni jedni próbowali walczyć i choć walka ich była samotna i dlatego niezbyt skuteczna, choć zginęli, to jednak „pozostają młodzi", bo żyją w pamięci swej klasy i odradzają się w swych potomkach. Tak jak kiedyś Maria miała w swym łonie Hansa, gdy Erwin padł od kuli Wenzlowa, tak w chwili śmierci Hansa żona jego Emmi nosi pod sercem dziecko. A to już są czasy dzisiejsze. Wprawdzie Castriciusze przetrwali wojnę, ich fabryki stoją nienaruszone, nie było rzeczą przypadku, że alianccy lotnicy je oszczędzili, wprawdzie nie zabraknie takich — tu przedłużamy linię powieści — którzy byliby gotowi rozpocząć grę od nowa, lecz tytuł książki i jej istotna treść wyraża nadzieję, że przyszłość będzie należała do Erwinów i Hansów.

„Umarli pozostają młodzi" — to dzieło rzetelnego realizmu. Daje obraz społeczeństwa niemieckiego, w ostatnim ćwierćwieczu, zgodny z historyczną prawdą, sprawiedliwie rozkładając blaski i cienie — cienie bardzo mroczne, rozświetlone z rzadka słabymi wtedy, ale niewątpliwie istniejącymi promykami wiary i nadziei. Autorka na ogół konsekwentnie i z powodzeniem starała się zrealizować znaną tezę Engelsa, umieszczając „typowe postacie w typowych warunkach", przy czym typowością tą głęboko przepoiła również najbardziej, zdawałoby się, indywidualną, prywatną sferę życia swych bohaterów, którzy przez to bynajmniej nie utracili osobistego oblicza.

Pewnym brakiem, jaki można by zarzucić autorce jest to, że ukształtowała staranniej i bardziej sugestywnie postacie i losy bohaterów ujemnych lub ideowo chwiejnych czy obojętnych — od postaci i losów tych, którzy są świadomymi bojownikami o lepsze jutro. Ernest i Elżbieta Lievenowie, Klemm, jego szofer Becker, socjaldemokrata Geschke i jego żona Maria są o wiele plastyczniejsi i o wiele bardziej drobiazgowo narysowani od antyfaszystowskich działaczy czy bojowników, przeważnie tylko pośpiesznie naszkicowanych lub ukazanych epizodycznie. O ile na przykład śmierć takiej Elżbiety Lieven czy Wenzlowa nosi cechy nieomal sentymentalnego, a przecież w gruncie rzeczy, z ideowego punktu widzenia niezbyt usprawiedliwionego tragizmu, o tyle na rzeczywistą tragedię Hansa autorka spojrzała pobieżnie oczyma Wenzlowa. Hans jest wprawdzie, podobnie jak epizodyczny Erwin, medium pisarki, wyrażającym pośrednio optymistyczną wiarę, że t a c y „umarli pozostają młodzi", lecz to nie zmienia faktu, że jako jednostka ludzka poniósł śmierć, a jako bojownik zginął za wcześnie, nie dokonawszy efektywnego czynu, dla którego oszczędzał się przez tyle lat. Także poprzednia droga Hansa, wyjąwszy kilka doskonałych momentów (np. zetknięcie się z Martinem), nie została psychologicznie tak przekonywająco wypracowana i pogłębiona, jak obraz życia i przejść wielu mniej ważnych, choć niewątpliwie typowych i potrzebnych postaci.

W przeciwieństwie do niektórych uprzednich utworów Anny Seghers — do „Siódmego krzyża", rozgrywającego się chwilami w ekspresjonistycznej atmosferze dręczącego snu czy do surrealistycznej noweli tytułowej „Wycieczki umarłych dziewcząt", nie mówiąc już o przestylizowanym, pointylistycznym tomie pt. „W drodze do poselstwa amerykańskiego" — „Umarli pozostają młodzi" są napisani stylem ściśle realistycznym, oszczędnym, prostym, miejscami prawie że nazbyt sprawozdawczym i beznamiętnym. Odnosi się wrażenie, że autorka chcąc sprostać trudnemu zadaniu zamknięcia olbrzymiego tematu w możliwie zwartej formie, nałożyła sobie duże rygory, co widać też ze wstrzemięźliwości w obrazowaniu. Dopiero pod koniec, gdy przyszło jej opisać katastrofę licznych postaci, wydobywa bardziej dramatyczne akcenty, a styl nabiera większego rozmachu i „ciepła".

**Egon Naganowski**

*) A n n a S e g h e r s: „Umarli pozostają młodzi". Powieść. Przekład autoryz. Juliana Maliniaka. Klub literacki „Odrodzenie". „Czytelnik" 1949, str. 537.

---

„SPRAWY MIĘDZYNARODOWE"

Ukazał się Nr. 1—2 kwartalnika „Sprawy Międzynarodowe" w którym umieszczone zostały artykuły: J. Kowalewskiego pt. „Sens walki przeciw podziałowi Niemiec", Kuczyńskiego o polityce kolonialnej zach. okupantów w Niemczech, Z. Muszkata o polityce podziału Niemiec w świetle prawa, Kazandzijewa Minko o przeobrażeniach rolnictwa w Bułgarii, Borowskiego o penetracji USA we Włoszech, Piwarskiego o Monachium oraz przeglądy o polityce Francji w stosunku do Niemiec i sytuacji międzynarodowej na Bliskim Wschodzie.

W numerze opublikowano również dokumenty antypolskiej polityki Watykanu, materiały dotyczące zobowiązań wojskowych Francji i W. Brytanii wobec Polski w 1939 r. oraz szereg recenzji z polskich i zagranicznych książek, dotyczących stosunków międzynarodowych i polityki zagranicznej.


SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO - OŚWIATOWA

„CZYTELNIK"

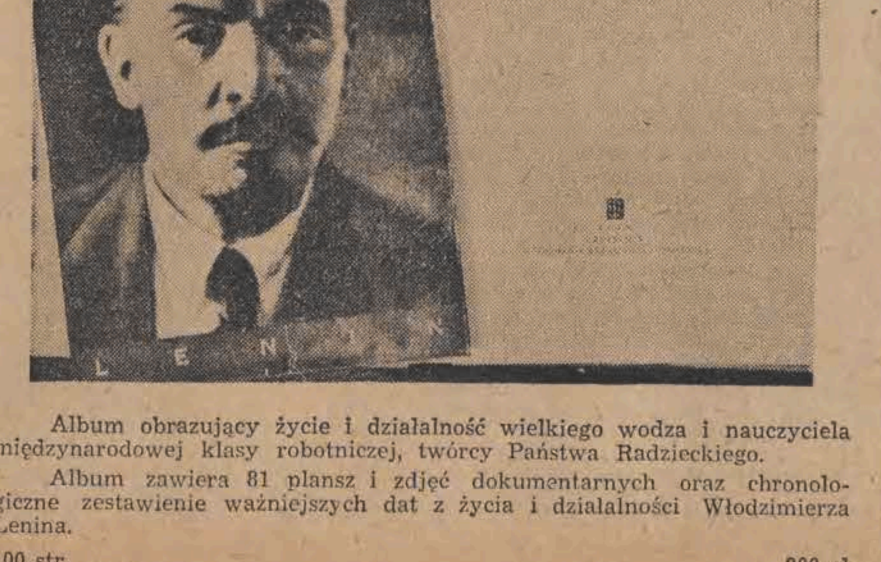


Album obrazujący życie i działalność wielkiego wodza i nauczyciela międzynarodowej klasy robotniczej, twórcy Państwa Radzieckiego.

Album zawiera 81 plansz i zdjęć dokumentarnych oraz chronologiczne zestawienie ważniejszych dat z życia i działalności Włodzimierza Lenina.

100 str. 200 zł

## Kosą po szyi

Felietonista arcybiskupiego „Tygodnika Powszechnego" Kisiel zajmuje się w swych felietonach, essayach i artykułach wszystkim — muzyką i literaturą, teorią estetyki i obyczajowością, rozprawia o tzw. sensie życia, o sprawach doczesnych i wiecznych, o naturze człowieka i jego wyższym przeznaczeniu. Bywa w miarę podniosły i w miarę morowy. Lecz cel — bardzo przejrzysty — jest zawsze ten sam: Kisiel swoją łopatą pakuje do, i tak już porządnie zaśmieconej głowy swego czytelnika poglądy sankcjonujące i utrwalające w jego mózgu najbardziej obskurancką i najbardziej prymitywną dulszczyznę. Wiadomo: ideolog kołtuna może a nawet musi formalnym wykształceniem i osobistą ogładą umysłową przewyższać go o jedno czy dwa piętra — od tego jest właśnie ideologiem, tzn. producentem i dostawcą towaru ideologicznego dla kołtuńskiego konsumenta. Ale jako ideolog kołtuna nie tylko sam nie przekracza jego horyzontu społeczno-politycznego i kulturalnego, nie tylko nie chce i nie potrafi sięgnąć myślą poza ten horyzont — jedyną jego funkcją jest fabrykowanie teoretycznych i moralnych uzasadnień dla wszystkiego, czym kołtun żyje, co odpowiada klasowo zdeterminowanym upodobaniom i tęsknotom tzw. inicjatywy prywatnej, której trybuną ideowo-polityczną jest dziś organ krakowskiej kurii Książęco-Metropolitalnej.

Ostatnio Kisiel zajął się... śmiercią. Dosłownie. Ktoś, w życiu całkiem niepozorny, umarł i „stał się przez to wydarzenie ogromnie ważny, w każdym razie o wiele ważniejszy ode mnie, ktory nadal żyję" — pisze Kisiel w numerze 4 „Tygodnika". I dalej: „Wbrew przysłowiu, że nieobecni nie mają racji, on teraz właśnie dopiero uzyskał rację, której mu nigdy nie odbiorę. Jestem dzieckiem wobec niego, który przeszedł już najważniejsze". „Dlaczego? Ano dlatego, „że śmierć jest najważniejszym wypadkiem naszego życia, że ustokrotnia ona i wyolbrzymia każdego człowieka..." Stąd wniosek, że „każdą wielkość ludzką budować musimy na śmierci".

Tu, w śmierci tkwi zatem sens i cel naszego życia i bardzo źle się dzieje, że „my żyjąc na gigantycznym cmentarzu, bardziej interesujemy się wysepką naszego życia, niż oceanem wieczności. Cóż za nonsens, cóż za lekkomyślność!".

Pesymizm? Nic podobnego. W następnym, 5 numerze „Tygodnika" Kisiel zapewnia nas, że pesymizm jest „szkołą optymizmu". Rozumiemy: pesymizm jest rzeczywiście jedynym optymizmem ginącej klasy, ginącej kultury, ginącego światopoglądu. Myślmy o śmierci — tylko ona jest ważna. Przecież „śmierć, to znaczy nieobecność t u t a j, trwa całą wieczność".

Ten, od dawna znany i na łamach arcybiskupiego tygodnika mało przecież dziwny język estetyzującego katolickiego liberała (?) ma jednak całkiem aktualną wymowę. Czyż nie idzie o pocieszenie tych, których klasowe pozycje się walą — o pocieszenie przegrywającej klasy, której jako jedyne źródło optymizmu wskazuje się personalistyczne obcowanie ze śmiercią? Dobrotliwa kostucha pieszczotliwym machnięciem kosy nadaje nam przecież ową wielkość, z którą nie może się mierzyć nic w życiu. Niech się inni upajają życiem, niech sobie to życie przebudowują na lepsze, niech pracują i walczą o ziemskie zbawienie — głupcy! Śmierć jest najważniejsza. Nie myślmy o życiu — przygotowujmy się do śmierci.

A na razie, póki musimy żyć i oglądać okropności, które się w naszych oczach dzieją i którym nie możemy zapobiec (w zwyczajnym języku okropności te nazywa się postępem, socjalizmem, upowszechnieniem kultury, awansem społecznym milionów, wyzwoleniem ich twórczych sił i — likwidacją pasożytniczych klas) — na razie uciekajmy od rzeczywistości już tu, w doczesnym życiu, zasłońmy oczy, wyizolujmy się, bo „największe dane, aby zostać filozofem, ma mieszkaniec bezludnej wyspy albo latarni morskiej".

Istotnie, skoro życie jest tak mało ważne i dopiero śmierć z kosą „wyolbrzymia każdego człowieka" — to najlepiej zasłużymy sobie na jej przychylność ucieczką w krainę samotności i... zabobonu.

Nie wierzycie, żeby to były poglądy Kisiela? Posłuchajcie: „wydaje mi się, ze telewizja lub telefon są zjawiskiem co najmniej równie dziwnym jak kobold albo strzyga. Ktoś może na to powie, że telewizja ma swoje konkretne i logiczne uzasadnienie, zaś strzyga — nie. Nieprawda: o ile strzyga by się zjawiła (!), to dowód, że istnieje, a jeśli istnieje, na pewno również ma swoje wytłumaczenie, o którym przeciętny człowiek wie co najmniej tyle, co o telewizji".

Cytuję dosłownie za 5 numerem „Tygodnika Powszechnego". Nie wiem, co Kisiel wie o strzygach. Jak dotąd, chyba mniej niż naczelny herold katolickiego personalizmu, Jacques Maritain, o aniołach, które w jego pracach „filozoficznych" zajmują poczesne miejsce. Na wszelki wypadek niech sobie Kisiel przeczyta:

„...te czyste duchy mieszkają nad człowiekiem w nieskończonej ilości, piętrami, stosownie do swojej hierarchii, przy czym wszystkie przylegają do siebie wzajemnie, jak ziarnka piasku w morzu". (Maritain, „Trois réformateurs").

Może się też Kisiel dowiedzieć, że anioły „są panami i władcami przyrody i mogą, zmieniając według swej woli ruch atomów, grać na tej przyrodzie jak na gitarze". (Maritain „Réflexions")

Miejmy nadzieję, że w jednym z najbliższych felietonów Kisiel poda nam szczegóły dotyczące istoty i sposobu bycia strzyg. Przecież wie o nich „co najmniej tyle co o telewizji". A jeżeli poważny „filozof" Maritain nie skąpi nam swej wiedzy o aniołach, dlaczego by felietonista „Tygodnika Powszechnego" miał kryć przed swymi czytelnikami równie cenne informacje o strzygach, skoro może w ten sposób ułatwić tym czytelnikom przygotowanie się do „najważniejszego wypadku naszego życia" — do śmierci.

I jeszcze jedno. Możeby tak Kisiel zmienił dotychczasową nazwę swego felietonu i zamiast w rubryce „Łopatą do głowy" drukował go odtąd pod tytułem „Kosą po szyi"?

Zjawisko ciekawe i bardzo interesujące dla socjologa: ideolog klasy walczącej na ziemi w bardzo ziemski sposób o bardzo ziemskie dobra (przyjrzyjcie się tym ascetom w kawiarniach i w barach, w Krynicy i nad morzem!), ideolog klasy kurczowo trzymającej się swego doczesnego istnienia zaleca jej taką właśnie filozofię na łamach pisma reprezentującego jakże ziemską i jakże konkretnie, jakże materialnie doczesną politykę.

Paradoks? Chyba nie. Ludziom, zębami i pazurami trzymającym się brudnej, właśnie najbrudniejszej, doczesności — dla dobrego samopoczucia w sam raz potrzebne jest od czasu do czasu takie uwznioślające przypomnienie o rzeczach „wiecznych". W podniosłej atmosferze wieczności lepiej się konsumuje dobra doczesne.

**Kandyd**

# NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

*Julian Lider. Pogadanki o dialektyce i materializmie.* Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949, str. 153 i 7 nl.

W zakresie popularności zagadnień teorii marksizmu-leninizmu literatura nasza jest wciąż jeszcze skąpa i uboga. Z satysfakcją też przyjmować należy każdą wartościową pozycję bibliograficzną z tej dziedziny, a do takich należy zaliczyć wydaną niedawno książeczkę Juliana Lidera p.t. „Pogadanki o dialektyce i materializmie".

Celem tych pogadanek, pisze autor w przedmowie, jest „zapoznanie czytelnika z niektórymi podstawowymi problemami marksizmu-leninizmu i zachęcenie go do głębszego ich przestudiowania". Pogadanki podzielone są na trzy cykle. Pierwszy z nich pt. „O dialektyce marksistowskiej" traktuje o dialektycznej metodzie badania zjawisk (wzajemny związek i współzależność, ruch i rozwój, cechy rozwoju, jedność i walka, przeciwieństwo jako źródło rozwoju), przy czym autor metodzie dialektycznej przeciwstawia w sposób krytyczny przestarzałą metodologię metafizyczną, uwydatniając jej wsteczny i klasowy charakter.

Część druga dotyczy materializmu filozoficznego i omawia zagadnienia materialności świata, stosunku między materią, a świadomością oraz poznawalności świata. Część trzecia — o materializmie historycznym — wyjaśnia rolę decydujących czynników rozwoju społeczeństwa, systemy produkcji, kwestie zależności pomiędzy bytem społecznym, a świadomością społeczną oraz rozwój świadomości zbiorowej w życiu społeczeństwa.

Mimo, że wiele z wymienionych tu problemów nie należy do najłatwiejszych pod względem możliwości popularyzacji, autor pogadanek, nie zbaczając z drogi naukowej ścisłości, a stroniąc od wszelkiej wulgaryzacji i nadmiernych uproszczeń, potrafił nadać swemu wykładowi formę przystępną i przejrzystą, zilustrowaną licznymi, trafnie dobranymi przykładami z rozmaitych dziedzin wiedzy przyrodniczej. Częste nawiązania do aktualnych spraw i wydarzeń, przyczyniają się do ożywienia treści pogadanek, zbliżają je pojmowaniu przeciętnego czytelnika, łagodzą — jeśli tak powiedzieć można — „abstrakcyjność" niektórych tematów. Tym sposobem praca Lidera spełnić może z powodzeniem nakreślone jej przez autora zadanie.

**bd.**


F. RABELAIS

GARGANTUA I PANTAGRUEL

PIW

PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY

**WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI**

*Z SAL KONCERTOWYCH*

# Geminiani, Beethoven, Borodin

XVIII koncert piątkowy Państwowej Filharmonii w Warszawie (20 stycznia) zawierał w programie Concerto grosso D-dur Geminianego, koncert fortepianowy G-dur Beethovena, oraz drugą symfonię Borodina.

**Francesco Geminiani** (1674—1762), sławny skrzypek i kompozytor, przedstawiciel klasycznej włoskiej muzyki kameralnej, jeden ze spadkobierców wielkiego Corelliego — podobnie jak współcześni mu Tartini, Vivaldi, Veracini i in. był jednym z tych, którzy stworzyli podwaliny rozwojowe wirtuozowskiej gry na skrzypcach, doprowadzonej w sto lat później do szczytu przez Paganiniego. Przyczynił się do tego nie tylko osobistą karierą wirtuoza, uwielbianego zwłaszcza w Anglii, gdzie spędził ostatnich kilkadziesiąt lat życia, ale także jako teoretyk, autor „Sztuki gry na skrzypcach", dzieła na swoje czasy niezwykle nowoczesnego i odkrywczego.

Nic dziwnego, że w Concerto grosso D-dur, spośród trzech instrumentów tworzących zespół koncertujący (tzw. concertino): skrzypce, wiolonczela i klawesyn (zastępowany dziś zwykle fortepianem) — skrzypce wybijają się na pierwszy plan. Napisana po wirtuozowsku partia skrzypcowa musiała w epoce Geminianiego wydawać się pod względem technicznym prawdziwie rewelacyjna, a dziś jeszcze — jak przekonaliśmy się na koncercie Filharmonii — potrafi sprawić współczesnemu skrzypkowi poważny kłopot.

Cencerto grosso Geminianiego polifoniczną fakturą nie odbiega od stylu praktykowanego w tym okresie. Brak mu jednak szlachetności, powagi, płynności i klasycznego spokoju, który cechuje utwory Corelliego. Z czterech części: powolna pierwsza i trzecia spełniają rolę obszernych introdukcji w stosunku do części szybkich: drugiej i czwartej.

Koncert na fortepian i orkiestrę G-dur **Ludwika van Beethovena** jest czwartym i obok piątego (Es-dur) — najpiękniejszym i najdojrzalszym z wszystkich pięciu koncertów genialnego kompozytora. Owego historycznego dnia w Wiedniu — 22 grudnia roku 1808 — gdy koncert G-dur został po raz pierwszy publicznie wykonany, słuchacze musieli przeżyć niecodzienne emocje. O ile bowiem pierwsze dwa koncerty (C-dur i B-dur) nie wnosiły specjalnie nic nowego w stosunku do zdobyczy Haydna i Mozarta, o ile trzeci koncert (C-moll) wykazuje ogromny rozwój indywidualności twórczej Beethovena, zachował klasyczny schemat formalny a przy tym zdradzał spore pokrewieństwo z koncertem i fantazją C-moll Mozarta — o tyle koncert G-dur składał się dosłownie z samych niespodzianek. Zaskoczenie rozpoczęło się już od pierwszego taktu utworu. Zamiast tradycyjnie obowiązującego „tutti" orkiestry — fortepian solo eksponuje temat pierwszy koncertu. Zaledwie zgorszony słuchacz zdołał ochłonąć nieco z wrażenia — nowa niespodzianka: po kadencji harmonicznej fortepianu w tonacji zasadniczej utworu (G-dur) orkiestra bez żadnego przygotowania czy połączenia wkracza z nagła w nową odległą tonację H-dur.

Jeżeli współczesny Beethovenowi słuchacz oswoił się trochę z tym nowatorstwem, to teraz zaczyna się seria niespodzianek w przeciwnym kierunku. Przede wszystkim dalsza budowa pierwszej części koncertu nie odbiega w zasadzie od klasycznej formy sonatowej, choć po beethovenowsku rozbudowanej: po e k s p o z y c j i orkiestrowej, złożonej jak zwykle z dwóch zasadniczych kontrastujących tematów, następuje jej powtórzenie wzbogacone udziałem fortepianu, a następnie wspólna p r z e r ó b k a (swobodne opracowanie elementów składowych ekspozycji i r e p r y z a (powtórzenie ekspozycji z pewnymi zmianami) wreszcie solowa k a d e n c j a wirtuozowska fortepianu i szeroko rozbudowana c o d a kończąca część pierwszą. Co więcej — słuchacz odkrywał zarówno w fakturze fortepianowej, jak w orkiestrowej chwyty typowo mozartowskie; odkrywał u często niedbałego w instrumentacji Beethovena niezrównaną czystość w prowadzeniu głosów poszczególnych instrumentów, w rozplanowaniu współbrzmień, w równowadze operowania oddzielnymi grupami orkiestrowymi — czystość, którą tak podziwiamy zawsze w partyturach Mozarta. Cały duch utworu, jego prostota, klasyczne piękno, umiar, nastrój pogodny choć nie pozbawiony dyskretnie zaakcentowanego liryzmu — wszystko to wskazuje na świadomy nawrót do ideałów mozartowskich, choć każdy takt jednocześnie nosi piętno potężnej indywidualności Beethovena.

Teraz następuje niespodzianka bodaj największa: część druga koncertu — Andante con moto. Te kilkadziesiąt prawdziwie genialnych taktów wnosi nastrój całkowicie odmienny. Z gwałtownym, dramatycznym r e c i t a t i v o smyczków unisono dialoguje fortepian w prostych, łagodnych harmoniach, w śpiewnej melodyce, w pełnym kontemplacji pianissimo. Trudno, doprawdy, o przykład utworu o tak wielkiej sile wyrazu, o tak wstrząsającym ładunku uczuciowym, o takich przejmujących akcentach bólu i rezygnacji.

Ostatnie wreszcie zaskoczenie — to finał, stanowiący znowu zupełny kontrast w stosunku do nastroju części poprzedniej. Radosne, pełne czarującej lekkości i wdzięku R o n d o (forma, w której stale powracający temat główny przeplatany jest tematami pobocznymi) — zarówno w formie, jak w treści nawiązuje z powrotem do klasycznych założeń części pierwszej.

Zdawać by się mogło, że koncert G-dur stanowi wobec tego mieszaninę stylów i nastrojów. Jest jednak zupełnie przeciwnie. Przesiąknięte jednolitą ideą dzieło stanowi wzór organicznej spoistości, logiki i żelaznej dyscypliny artystycznej. Widać w nim twór genialnego mistrza znajdującego się w pełni dojrzałości i u szczytu swego rozwoju.

**Aleksander Borodin** (1834—1887) — jeden z czołowych przedstawicieli „Wielkiej Piątki" nowatorów muzyki rosyjskiej (Musorgski, Rimski-Korsakow, Borodin, Bałakirew, Cui), pracował nad stworzeniem swej drugiej symfonii, H-moll, całych siedem lat. W rezultacie powstało dzieło zakrojone na monumentalną miarę o doskonałej konstrukcji, jędrnej rytmice i dużym mistrzostwie w operowaniu motywami sięgającymi przeważnie do bogatych zasobów melodyki ludowej.

„Wystarczy znać tę symfonię, aby mieć dokładną ideę rosyjskiego życia" — wyraził się o niej znakomity dyrygent Feliks Weingartner.

Istotnie, dzieło to na wskroś rosyjskie, tchnie przestrzenią i szerokim oddechem rosyjskich stepów, tchnie życiem, tradycją, dążeniami i pragnieniami rosyjskiego ludu.

Wykonana po raz pierwszy w roku 1877, symfonia Borodina nie odrazu znalazła uznanie, na jakie zasługuje. Winę tu ponosiła wadliwa, zbyt ciężka i przeładowana instrumentacja. Symfonia odniosła sukces dopiero w dwa lata później, po poprawkach poczynionych w partyturze przez Rimskiego-Korsakowa.

Młoda pianistka brytyjska **Susan Slivko** (urodzona w Anglii z rodziców pochodzenia polsko-rosyjskiego) była doskonałą odtwórczynią partii fortepianowej koncertu Beethovena. Precyzyjna, bardzo lekka i perlista technika, równomierna w prawej i lewej ręce, pozwalała jej wykonać wyraziście najdrobniejszą nutkę w największym nawet piano i bez przesadnego akcentowania. Zaletą p Slivko jest również duża skala dynamiczna między p i a n o a f o r t e, a zwłaszcza doskonała artykulacja: żaden pasaż czy gama nie były zagrane jednostajnie, ale w logiczny sposób wycieniowane. Dodajmy do tego ogromną wytrzymałość i niezawodne poczucie tempa. Co najważniejsze jednak: p. Slivko utrafiła we właściwy styl interpretacji dzieła, tak bliski mozartowskiej powściągliwości a jednocześnie tak pełen beethovenowskiego rozmachu.

Kapelmistrz koncertu **Mieczysław Mierzejewski** akompaniował dyskretnie i czujnie. Symfonia Borodina, w której wykazał, jak zwykle, dużą kulturę wykonawczą, brzmiała pod jego dyrekcją bardzo dobrze.

**Wawrzyniec Żuławski**

## KSIĄŻKI NADESŁANE

**Balzac** — Cierpienia wynalazcy — przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Żeleński-Boy. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 202. Wyd. II.

**Balzac** — Dwaj poeci — przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Żeleński-Boy. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 276. Wyd. II.

**Jan Kott** — O „Lalce" Bolesława Prusa. Wydanie II. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 103.

**Wanda Wasilewska** — Płomień na bagnach. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 335.

**Roger Martin Du Gard** — Rodzina Thibault. Tom II. Dzień przyjęć doktora Thibault Sorellina. Śmierć ojca. Przekład Pawła Hulki-Laskowskiego. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 400.

**Jurij Tymanow** — Kuchla. Przełożyła Nadzieja Drucka. Przekład wierszy w tekście Anny Kamieńskiej i Jana Śpiewaka. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 356.

**Mikołaj Czukowski** — „Domek nad Rzeką". Tłumaczyła Eleonora Majewska. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 139.

**Stefania Sempołowska** — Na ratunek. „Książka i Wiedza". Warszawa 1945 r., str. 310.

**Jan Andrzej Morsztyn** — Wybór poezji. Biblioteka pisarzy polskich i obcych pod redakcją Kazimierza Budzyka. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 164.

**Konstanty Paustowski**. „Dalekie lata" Tłumaczył Jerzy Jędrzejewicz. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 353.

**Biblioteka Klasyków Marksizmu-Leninizmu**— Karol Marks, Fryderyk Engels. Dzieła wybrane w dwóch tomach. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 644.

**Leonid Sobolew** — „Dusza morska". Przełożył z rosyjskiego Stefan Klonowski. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 79.

**Zdzisław Mierzyński** — „Wybrane żywoty książąt kościoła polskiego w okresie rozbiorowym". „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 148

**Wydział historii partii K. C. P. Z. P. R.** — Wielki proletariat, opr. Tadeusz Daniszewski Materiały i dokumenty z historii ruchu robotniczego w Polsce. Zeszyt I. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 264.

**Mieczysław Uzar** — Biblioteka przodowników pracy Nr. 17. Urzędnicy dotrzymują kroku robotnikom. Opr lit. Jerzego Wańkowicza. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 32.

**Dr. Dominik Wanic** — Borowik szlachetny. Nauka i Życie. Seria I. Numer 6. „Książka i Wiedza" Warszawa 1949 r., str. 64.

**Józef Nierychło** — Tajemnice wydajności mojej pracy. Biblioteka przodowników pracy Nr. 11. Opr. lit. Mariana Niewiarowskiego. „Książka i Wiedza". Warszawa 1949 r., str. 39.

**Polska Ludowa a Kościół Katolicki** — „Książka i Wiedza" Warszawa 1949 r., str. 54.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA
CZYTELNIK

ŻEROMSKI S.
PRZEDWIOŚNIE
powieść
str. 342 zł 380.—

ŻUŁAWSKI J.
SKRZYDŁO DEDALA
powieść
str. 194 zł 240.—

CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA
N O W O Ś C I

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI
ZNASZ LI TEN KRAJ?...
Cyganeria krakowska
52 ilustr.
161 str. 250 zł

IRENA PRZEWŁOCKA
MIASTO W OGNIU
214 str. 250 zł

JORGE AMADO
RYCERZ NADZIEI
Życie Luisa Carlosa Prestosa
Tłum. z jęz. portugalskiego
E. Gruda i M. Hołyńska
300 str. 320 zł

# Noty

### Ubogi repertuar życiowy

Nieomal w piątą rocznicę wyzwolenia Warszawy ukazała się 300 stronicowa książka Jana St. Bystronia pod obiecującym acz ogólnikowym tytułem „Warszawa". Okazuje się, iż jest to historia Warszawy w bardzo płytkim socjologicznym ujęciu, doprowadzona do roku 1914. Odpusty, Zabawy popularne, Typy uliczne, Sprawa żydowska, Rozwój gospodarczy, Hotele, Kawiarnie, Nierząd, Szpitalnictwo, Cmentarze, Egzekucje, Pożarnictwo, Bruki itd. — cytuję kolejne podtytuły jednego z rozdziałów: schemat ten z pewnymi wariantami, zależnymi od omawianej epoki, powraca w każdym rozdziale. „Najciekawsze" jest jednak zakończenie książki, dopisane przez Stanisława Dzikowskiego, a mówiące o czasach dwóch ostatnich wojen. W części tej, utrzymanej w tonie lirycznych wspomnień, znajdujemy m. in. taką charakterystykę Niemców i czasów ostatniej okupacji.

„I, co najważniejsza, Niemcy nie wykazali wyższych zdolności rządzenia podbitym krajem. Ci kandydaci na nowoczesnych Rzymian pozbawieni byli wszelkiej siły przyciągającej, chcieli budować swoje imperium oparte tylko na fizycznej przemocy. Nie podobna sobie wyobrazić bardziej ubogiego repertuaru życiowego, jak ten, który objawiali Niemcy w tzw. generalnym gubernatorstwie. Aresztować, torturować, rozstrzelać, wyrzucić z mieszkania, ograbić, wziąć łapówkę, obeźreć się i uchlać, sprowadzić dziwki do mieszkania lub do kantyny, z mętnym łbem odwalić urzędowanie — to wszystko, co potrafili".

Nie wiem jak miałyby wyglądać „wyższe zdolności rządzenia podbitym krajem" w ujęciu p. Dzikowskiego. Ocena hitlerowskiej nieudolności pod jego piórem zdaje się przeradzać w nieomal żal, że metody rządzenia podbitymi krajami zostały przez hitlerowców sprowadzone do aż tak niskiego poziomu. O ileż dalekowzroczniej na miejscu nieokrzesanych barbarzyńców nazistowskich zachowaliby się np. doświadczeni w rządzeniu krajami podbitymi imperialiści angielscy lub amerykańscy! O ileż bogatszy byłby ich „repertuar życiowy"!

Warto też przypomnieć p. Dzikowskiemu, że wymieniony przez niego „ubogi repertuar życiowy" hitlerowców (aresztować, torturować, rozstrzelać itd.) spowodował tylko na terenie Polski wyniszczenie 6-u milionów ludzi. Wydaje się, że to wcale „bogaty" wynik. **ld**

### Pośmiertne dzieje wariata

W jednym z ostatnich numerów „Washington Times Herald" przeczytaliśmy o projekcie amerykańskich kół rządowych, które zamierzają uczcić pamięć zmarłego w ubiegłym roku ministra okazałym pomnikiem. Owym mężem stanu, którego statua ma ozdobić stolicę Ameryki, był znany w kronikach psychiatrycznych USA minister Forrestal. Wielbiciele tego wariata rozpoczęli już zbiórkę funduszów na budowę pomnika i w tej chwili rozważa się projekt napisu, jaki będzie wyryty na marmurowej tablicy statui.

W tym samym numerze wspomnianego dziennika znajdziemy także artykuł polityczny, omawiający przyszłe plany agresywne Ameryki. Między innymi można tam przeczytać następujące zdanie:

**„Skierujemy za ocean samoloty z pociskami atomowymi, zapalnymi i bakteriologicznymi, aby zniweczyć dzieci w kołysce, stare kobiety przy modlitwie i mężczyzn przy pracy".**

Powyższy werset, jak nam się wydaje, byłby najidealniejszym napisem na pomniku Forrestala. **kst**

### Bibilijny maraton

Amerykanie mają ambicję ustanawiania rekordów światowych we wszystkich dziedzinach życia. Nikt nie może się z nimi mierzyć w połykaniu knedli, w biegu w wor-

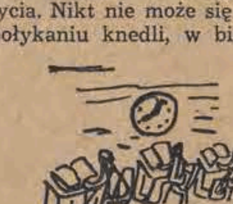

kach, w pluciu, w staniu na głowie, w piciu piwa itp. Ale to wszystko mało. W Ameryce postanowiono pobić rekord religijny. Miasto Covington (Indiana) organizuje biblijny maraton, który ma rozstrzygnąć, kto jest najgordliwszym wyznawcą Pana Boga. Organizatorzy wyścigu urządzają zawody polegające na tym, że ich uczestnicy winni przeczytać Biblię od początku do końca w ciągu dwudziestu czterech godzin. Do wyścigu zaproszono duchownych i wyznawców wszystkich wyznań i obrządków religijnych. Prasa amerykańska przypomina, że podobny maraton odbył się już przed dwoma laty i że osiągnięto wówczas rekord w czytaniu Biblii, wynoszący 72 godziny i 20 minut. Tym razem warunki są o wiele cięższe. Jest to zupełnie zrozumiałe, jeśli zważymy rolę Ameryki jako, obrończyni religii. W oparciu o tak s z y b k o religijnych rodaków, kardynał Spellman może z ufnością patrzeć w przyszłość. **rk**

### Czerwone i czarne

Amerykański przemysł filmowy stanął przed dziwną zagadką, o której pisze „Variety", najpoważniejszy tygodnik amerykański poświęcony sprawom teatru, filmu i radia. Czasopismo stwierdza zupełne niepowodzenie szeregu antyradzieckich i antykomunistycznych filmów lansujących przy akompaniamencie hałaśliwej propagandy groźbę „czerwonego straszaka". Szereg filmów, jak „Żelazna kurtyna", „Czerwony Dunaj",

„Czerwone niebezpieczeństwo" i „Poślubiłem komunistkę" — zdjęto po kilku dniach z ekranów, ponieważ kina świeciły pustkami. Tytuły przestały być atrakcyjne (zmieniono tytuły, ale i to nie pomogło) a treści filmów nie mógł przełknąć nawet niewybredny widz amerykański. Pismo stwierdza natomiast niebywałe powodzenie kilku filmów murzyńskich, które przemycają — acz w nieśmiały sposób — antyrasistowskie i przez rząd dławione tendencje. Filmy „Home of the brave", „Lost boundaries" i „Pinky" (wszystkie o tematyce murzyńskiej) zostały przyjęte bardzo przychylnie zarówno przez publiczność, jak przez światlejszą krytykę. Głupawym i obskurnym filmom propaganda nie pomogła, postępowym nie zaszkodziła. Szary zjadacz chleba ma już dość, jak wywodzi „Variety", bzdury hollywoodzkiej i coraz mniej daje się nabierać. **ka**

**RYSZARD MATUSZEWSKI**

# W sprawie pomników

Nie mogę się zgodzić z tezą m.j. zawartą w jego nocie p.t. „Pomniki": tezą iż nie należało rekonstruować pomnika Mickiewicza w Warszawie dłuta Godebskiego, tezą, zalecającą w ogóle daleko idącą powściągliwość i krytycyzm w akcji rekonstruowania pomników, tak, aby nowopowstające i zdobiące nasze miasta monumenty były aż „współmierne z wielkością, którą mają symbolizować". Nie mogę się z tezą tą zgodzić, gdyż wydaje mi się ona w tej chwili w Polsce szczególnie niepraktyczna i niebezpieczna, a oto argumenty.

Jesteśmy krajem szczególnie, zastraszająco wprost ubogim w pomniki. Nie my jesteśmy temu winni. Niszcząca powódź historii raz po raz zmywała z powierzchni naszej wszystko co świadczyło o naszym dorobku kulturalnym, naszym geniuszu narodowym. Nie mniej fakt pozostaje faktem. Pokażcie mi drugi kraj na świecie, któryby mając takiego twórcę jak Adam Mickiewicz nie posiadał jego pomników w każdym większym mieście. Któryby mając takiego poetę jak Słowacki nie postawił mu dotąd nigdzie posągu. Spójrzcie na sąsiadującą z nami malenką Słowację, na pomniki, które tam postawiono skromnym twórcom ludowych ballad i pieśni, i powiedzcie ile i jakich pomników musiałby mieć u nich taki twórca jak Jan Kochanowski. Nie ma w Polsce posągów Staszica, Kołłątaja, Konarskiego. Ani rodzinne Kielce, ani Warszawa Judyma i Cezarego Baryki nie postawiła go dotąd Stefanowi Żeromskiemu. Nie ma dotychczas w Polsce Ludowej pomnika Ludwika Waryńskiego. To tylko kilka na chybił trafił rzuconych przykładów. Mnożyć je można dziesiątkami.

Jaki z tego wniosek? O wartości wychowawczej i estetycznej pomników nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Jasne też, że nie chodzi o lansowanie tandety. Musimy jednak zdawać sobie sprawę, że poto aby powstały u nas godne swych przeznaczeń dzieła sztuki rzeźbiarskiej trzeba wytworzyć sprzyjającą temu atmosferę twórczą. Rzeźbiarze bardziej niż poeci zależni są w swych przedsięwzięciach od zamówienia społecznego. Wydaje mi się, że jednym z najważniejszych zadań Ministerstwa Kultury i Sztuki byłoby w tej chwili zaplanowanie szerokiej akcji budowy pomników czołowych przedstawicieli naszej kultury: Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Chopina, Żeromskiego i innych. Państwo Ludowe jest dzisiaj jedynym mecenasem sztuki na wielką skalę. Od niego zależy już nie tylko to co stworzą rzeźbiarze, ale w ogóle to, czy ktoś z artystów utrzyma się przy tej niełatwej profesji. I tak samo jak w dziedzinie literatury, czy malarstwa — nie można oczekiwać odrazu cudów na pustyni, — tak i tutaj: nie wolno, nie należy hamować inicjatywy, choćby nie była ona na miarę Fidiasza czy Thorwaldsena. Mało jest na świecie pomników doskonałych artystycznie. Większość tych, które w monumentalny sposób zdobią wielkie stolice, imponują ogromem i wspaniałością swych marmurów, ma w istocie oblicze artystyczne dość banalne. Niejeden w swej epoce stanowił jakieś novum dziś irytuje wrażliwego artystę, szukającego innych, słuszniejszych rozwiązań.

Otóż wydaje mi się, że miara naszych, wąsko pojętych estetycznych wymagań w stosunku do obiektu natury społeczno-wychowawczej jaką jest pomnik, nie zawsze bywa słuszna. Tak jest naprzykład moim zdaniem ze sprawą pomnika Mickiewicza w Warszawie. Być może że pomnik stworzony przez Dunikowskiego byłby wspaniały. Ale czyż brak w Polsce miejsca na taki pomnik? Ile miast czeka na posągi Poety? Natomiast niewątpliwie banalne dzieło Godebskiego jest, jak słusznie podkreślano, nie tylko związane z sylwetą Krakowskiego Przedmieścia rekonstruowanego w dawnej postaci i z epoką w której powstało, ale spełniło ponadto jeszcze jeden warunek, aby w Roku Mickiewiczowskim stanął w stolicy pomnik Poety: było dziełem którego model istniał, było nie intencją, ale rzeczywistością. Realizacja pomnika polegała tylko na rekonstrukcji. Z dwuch pomników; doskonałego, który może kiedyśby powstał, i niedoskonałego, który istnieje realnie, — wybieram stanowczo realnie istniejący.

W sprawie groteskowego Mickiewicza krakowskiego m.j. ma niewątpliwie rację, natomiast posprzeczał bym się z nim o Chopina dłuta Szymanowskiego. Wiem, że spotkam w tym wypadku wielu przeciwników, choć wcale nie zgadzam się, aby był, jak twierdzi m.j. — „okropny". Był tylko, już wtedy, kiedy go ustawiono, artystycznym anachronizmem z epoki, która minęła. Nie miał bym też żadnych obiekcji przeciw innemu pomnikowi wielkiego muzyka, gdyby ktoś pomnik taki stworzył.

Skoro jednak pomnika takiego nie ma, to nie widzę powodu, aby nie odtworzyć rzeźby Szymanowskiego. Rzeźby pięknie harmonizującej z tłem łazienkowskiego parku, gdzie dotąd straszy smutny cokół z czerwonego piaskowca, rzeźby interesującej jako świadectwo pewnej epoki i pewnego stylu, którego Szymanowski był znamiennym przedstawicielem. Jeśli chcemy pokazać, że nasz sposób odczuwania Chopina jest inny, daleki od wyrażonej w pomniku Szymanowskiego egzaltacji, — postawmy z czasem drugi pomnik. Nie ma potrzeby, aby zwalczając niesłuszny, neoromantyczny rodzaj recepcji romantyzmu, zacierać ślady po wzajemnych związkach tych epok. O takich związkach mówił pomnik Chopina w Warszawie.

Powinna u nas obowiązywać zasada rekonstruowania z reguły wszystkich pomników zniszczonych przez hitlerowców, o ile oczywiście nie wyrażają treści obcych politycznie, lub wrogich Polsce Ludowej. Wszystkie odstępstwa od tej zasady winny być traktowane jako wyjątek. Rekonstrukcja pomników powinna być sprawą niezależną od akcji budowy pomników nowych, otwierającej szerokie możliwości rozwoju młodych talentów rzeźbiarskich w Polsce, które nie zrodzą się i nie rozwiną nigdy, jeśli w stosunku do pracy rzeźbiarzy naśladować będziemy błędy przeszłości, jeśli nie stworzymy trwałych podstaw mecenatu państwa ludowego dla tej trudnej i ambitnej gałęzi sztuki.

**Ryszard Matuszewski**

## KORESPONDENCJA

**Do**
**Redakcji „Kuźnicy"**

Od kiedy oznaczamy brzegi rzek, patrząc od ujścia do źródeł?

M. Brandys opisuje w nr 2 stary Gdańsk lewobrzeżny, patrząc z biegiem wód Motławy. „Rechtstadt" nie oznaczała prawobrzeżnego miasta Gdańska, a miasto na specjalnych prawach (magdeburskich).

**(—) Dominik Drabiński**
**Gdynia.**

## SPIS TREŚCI Nr 4

**Mieczysław Jastrun** — W krainie pamiątek. **Julian Tuwim** — List do Louis Aragona. **Stanisław Piętak** — Powtórne spotkanie. Na otwarcie Spółdzielni Produkcyjnej w S. **Adolf Sowiński** — Żeromski nieprawdziwy. **Wanda Leopold** — Mickiewicz coraz bliższy. **Louis Aragon** — Miłość Jana i Cecylii — przełożył **Ryszard Matuszewski**.. **George C. Bidwell** — Wybrałem Polskę. **Michał Isakowski** — Posłuchajże mnie piękna. **Mikołaj Zabołocki** Z poematu „Miasto w stepie" — przełożył **Wiesław Karczewski**. **Janina Preger** — „Strofy gniewu". **Stanisław Powołocki** — Twórcza droga moskiewskiego Teatru Wielkiego. **Aleksander Jackiewicz** — Romantyczna twórczość Paustowskiego. **Kandyd. Wawrzyniec Żuławski** — „Grupa 49"— Fr. Portnoj. **Noty.**

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. tel. 4-01-80. w 95 Adres administracji Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca
Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 80.—: kwartalnie zł 240.—: półrocznie zł 480—; rocznie zł 960 — Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-10900. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.
Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5
B-96496